

małdodrze

PL ISSN 0465-7667 Nr indeksu 26 639

ZIELONA GÓRA 21 VI — 4 VII 1989 R.
ROK XXXIII NR 13 [696] CENA 60 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

PO
FESTIWALACH
W ZIELONEJ GÓRZE,
BUDZISZYNIE.
KRAKOWIE

ŚMIERĆ
W SAMOTNOŚCI

dwa tygodnie
z tv

Rozmowa
Z ZONĄ
LECHA WAŁĘSY

KTO ROZBIJE
BANK
w piłkarskim
pokerze

PO WYBORACH

Wybory czerwcowe były drugimi w dziejach Polski Ludowej, w których uczestniczyła opozycja. Do udziału w głosowaniu zachęcali wszyscy eksperci sił politycznych działających obecnie: Jaruzelski, Głomp, Wałęsa. Ich za chęty, ostrą, nie mającą odpowiedników kampania propagandowa, wbrew oczekiwaniom, i również przewidywanom ośrodków badania opinii publicznej, nie spowodowała wyższej frekwencji w tych, mających historyczny wymiar, wyborach. Na dziesięciu uprawnionych do głosu, tylko sześciu ze swego prawa skorzystało. Czterech pozostało w domu. Są to miliony obywateli zgłaszających wotum nieufności wobec polityki. Do tych milionów nie przemawiają żadne autorytety — partii, kościoła, „Solidarności”. Nie przemawiają żadne programy. Te miliony są poza wpływami obecnie działających sił politycznych?

Nieobecni w lokalach wyborczych, zwłaszcza młodzież i inteligencja, za których głosuje smutna rzeczywistość gospodarcza, inflacja, brak realnych perspektyw wyjścia z kryzysu, również nie wiara w sens polityki, są w istocie wielkim polem do zagospodarowania. Dla tych ludzi potrzebne są nowe programy, właśnie dla inteligencji i młodzieży.

Druga uwaga, jaka nasuwa się po dość wadliwym wyborczym, zastrzegając umowność podziału „lewica” i „prawica” w naszych obecnych warunkach, to to, że w Polsce — przeciwieństwo do krajów ugruntowanej demokracji parlamentarnej — brak jest właściwie siły politycznej określanej również umownie jako „centrum”. Kandydaci na posłów i senatorów usiłujący indywidualnie startować z programami wychodzącymi poza układ dwubiegunowy: partii i stronnictwa a „Solidarności”, często osobowości i uznane autorytety, nie odnieśli w wyborach sukcesu. Tymowski i Siła-Nowicki nie zostali namaszczeni w Gdańsku, nie byli błogosławieni w KC PZPR i ponieśli klęskę.

Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych, naturalny konkurent „Solidarności” jako związku zawodowego, okazało się być nieobecne w

kampanii wyborczej. W Zielonej Górze nie było w stanie przedstawić ani jednego kandydata do Sejmu i Senatu. Nawet na z góry przegranej pozycji. Kampania wyborcza jako okazja do przedstawienia walorów związku, nie została wykorzystana. Być może dlatego, że żaden działacz WPZZ nie był w stanie przedstawić trzech tysięcy podpisów rekomendujących. Czyżby WPZZ poddało się urokom urzędowania?

Niewątpliwie, wielką wygraną w tych wyborach była „Solidarność”. Nie jako niezależny, samorządny związek zawodowy, ale jako partia polityczna, która pod swoim parasolem zgromadziła wszelkie możliwe osoby opozycyjne. Po dane zostało tylko jedno hasło: głosuj na „Solidarność” a będzie dobrze! I to twierdzenie bez pokrycia zdołało zgromadzić potężny elektorat wyborczy. Właściwie wybrani zostali wszyscy, którzy występowali w barwach „Solidarności”. — Byli to ekspozytperowcy, chadecy, socjaldemokraci, nacjonalisci, inni. „Solidarność” okazała się partią polityczną o silnych akcentach ideologicznych bez ideologii i wygrała z pragmatykami. Etykieta „Solidarności” mogła doprowadzić do Sejmu lub Senatu na wet słup telefoniczny. Trzeba kilku lat, aby polityczny gabinet osobliwości, zwany „Solidarnością” został sprawdzony przez tych, którzy na niego oddali swoje głosy.

Nie zastanawiając się nad przyczyną mi i mechanizmami ogromnego sukcesu wyborczego „Solidarności”, na którą zapewne wielu oddało swój głos tylko po to, aby wreszcie zaczęło się coś dziać, by nie działa się dalej to, co jest, zwycięzca wyborów z dnia 4 czerwca — na tym polega paradoksy sytuacja — stał się więźniem własnego sukcesu. Obiecując konsekwentną opozycyjność w ciałach ustawodawczych, jeśli dotrzyma słowa, doprowadzić może do zupełnego paraliżu państwa, również nurtu retromatorskiego.

„Solidarność” nie jest dziś gotowa do przyjęcia władzy. Nie chce jej. Chce za chować klasyczną pozycję krytyka. Nie wiele to kosztuje a zjednuje głosy. Być

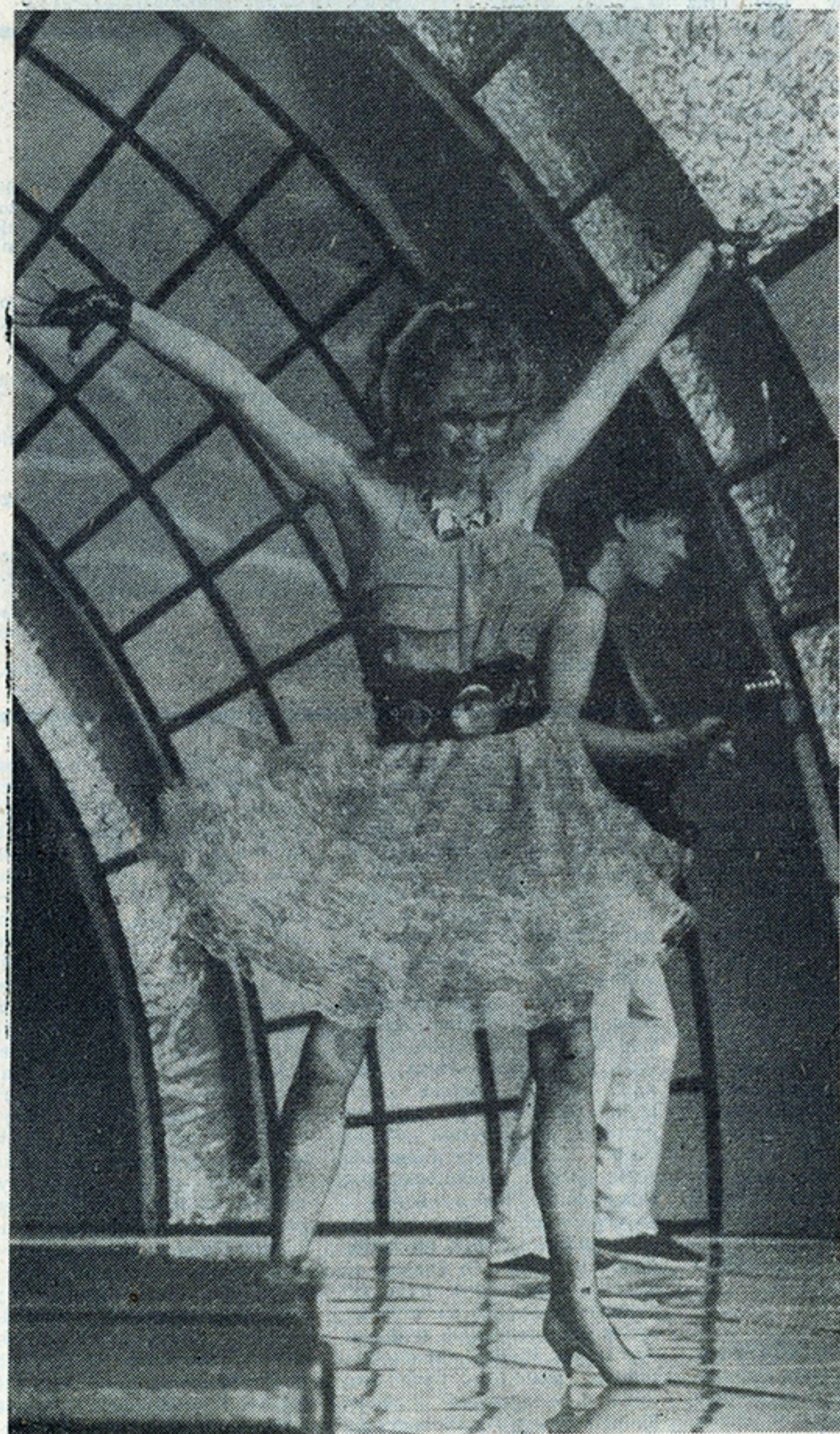
może cztery lata wystarczą na wypracowanie jako takiego programu konstruktywnego, choć osobiste w to nie wierzę. Oddanie Polski w ajencję nie jest przecież żadnym wyjściem a wokół tego rozwiązania kręć się wszelkie inicjatywy „Solidarności”, która nie jest w stanie obciążyć kosztami sanacji żadnej klasy społecznej: robotników, chłopów a tym bardziej lumpenproletariackiej inteligencji. Dylemat utrzymania stopy życiowej, bogatego rynku, sprawiedliwości społecznej, przy niesprawnej i przestarzałej gospodarce, który synonimem jest przerażająca niska wydajność pracy — jest nierozstrzygalny.

Nikt dziś nie wie, czy obywateli głosujących na „Solidarność” istotnie chcieli, aby było inaczej, dali jej cztery lata na opozycyjność bez odpowiedzialności za losy kraju. Czy te cztery lata istotnie zostaną stracone, odpowiedzą najbliższe posiedzenia Sejmu i Senatu. Dzisiejsze ocieranie łez skrzywdzonej przez wyborców Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, co przecież czynią niektórzy działacze opozycji, świadczy i o tym, że może być inaczej. Ludzie Wałęsy stają się realistami.

Dla koalicji wybory miały niepomysłny przebieg. Partia i stronnictwa sojusznicy zapłaciły za błędy popełnione w przeszłości. Nie tylko za stalinizm. Również za lata stracone na działania pozorowane, za brak energii w wyprowadzaniu gospodarki na czystą wodę. Analiza porażki wyborczej koalicji z punktu widzenia błędów propagandowych, nieprzemyślanej do końca taktyki, choć i to było, nie wydaje się być owocna. Kac wyborczy koalicji musi szybko minąć. Tego wymaga sytuacja. Natomiast głębsze wnioski powinny przyczynić się do ozdrowienia samej partii i stronnictw. Uwolnione od biurokratycznych metod spełniania władzy, stać się mogą tym, czym być powinny — partią i stronnictwami politycznymi. W pewnym sensie porażka wyborcza koalicji, niewątpliwie bolesna, jest dowodem, że proces demokratyzowania w PZPR, ZSL i SD został mocno zaawansowany. Demokratyczne reguły wyłaniania kandydatów na posłów i senatorów pozwoliły wyłonić interesujące osobowości, których kwalifikacje, charaktery, właściwie wykorzystane, mogą się stać wielce pożyteczne. Zjawisko wycinania własnych kandydatów, zgodnie z przewidywaniami, doprowadziło do kolejnej tury wyborów. Stały się one rozgrywką wewnętrzną, grą między swoimi i jako takie nie mogły już mieć większego rezonansu.

Nie ma przesady w stwierdzeniu, że kampania wyborcza 1989 miała historyczne znaczenie.

RYSZARD ROWIŃSKI



Wśród wykonawców ostatniego koncertu festiwalowego była Monika Borys — młodziutka i utanczniona, jedna z niewielu polskich piosenkarek, na które można także popatrzeć... (recenzję Haliny Ańskiej z XXV FPR czyt. na str. 3).

Fot. CZ. LUNIEWICZ

Pocztówka z Gozdnicy

Różne odcienie codzienności

Tegoroczne rozgorączkowane czerwcowe dni. Miasteczko czyste i schludne, żyje nieco przyspieszonym, rozdyskutowanym rytmem. Z witryn sklepowych, tablic ogłoszeniowych i ścian domów rzucają się w oczy krzykliwe plakaty „Solidarności”. Są wszędzie, jest ich bardzo dużo. Gdziekolwiek tylko, jakby wstydliwie ukryte — skromne anonse kandydatów do Sejmu i Senatu z listy koalicyjno-rządowej...

Mieszkańcy zaglądają do sklepów, wertują nowości w maleńkiej lecz sprawnie prowadzonej księgarni, zainteresowanie plakatami jest jakby minimalne. Wydaje się, że bardziej żyją problemami własnej codziennej i uciążliwej egzystencji, aniżeli sprawami wielkiej, ogólnokrajowej polityki.

— Tu się nam bardzo dobrze mieszka — mówią panie z biura Gminnej Spółdzielni. — Owszem, powietrze jest mocno zanieczyszczone przez Lubuskie Zakłady Ceramiki Budowlanej, mamy kłopoty z dostawami wody i jej kiepską jakością, ale przecież jest u nas spokojnie, z wolna Gozdnica rozbudowuje się, przybywa sporo domów i dba się o remonty starych, po prostu — ładnie nam co roku to nasze miasteczko. Bez trudu można wyjechać do pobliskiego Zagania, Zielonej Góry czy innych większych aglomeracji.

Te optymizmem tchnące opinie konfrontuję następnie z naczelnikiem miasta, inż. Eugeniuszem Wojcikowskim, od niedawna zajmującym to stanowisko, więc bez aspiracji przypisywania sobie i radzie narodowej wszystkich zasług i osiągnięć.

— To prawda, że własnymi siłami rozwiązujemy trudny problem budownictwa mieszkaniowego — powiada gospodarz Gozdnicy. — Przez wiele lat mieszkańcy postulowali utworzenie własnej spółdzielni mieszkaniowej. I taka spółdzielnia powstała w ub. roku, wspierając się głównie o pomoc LZCB — naszego największego zakładu, nie skąpiącego złotych na potrzeby miasta. W ciągu dwóch lat wybuduje się dwa bloki mieszkalne, trzykondygnacyjne, o 60 mieszkańach. Wykonawcą jest spółka budowlana „Wrobex”, która obecnie także buduje budynki z przeznaczeniem dla 12 rodzin pracowników oświaty. Jednocześnie przystępuje do budowy przedszkola dla 120 dzieci. Skąd na to fundusze? Ano właśnie trochę pieniędzy z budżetu miasta, trochę z miejscowych instytucji i zakładów pracy. Dla przykładu — nasza niewielka lecz gospodarna Gminna Spółdzielnia przeznaczyła z podziału nadwyżki zysku około 600 tys. zł na tę inwestycję. Przy okazji jednak potrzebna jest tu kropla dziegciu: Przedsiębiorstwo Hurtu Spożywczego, które prowadzi u nas sklep monopolowy i ma duże obroty, niestety, nie partycypuje w rozwoju miasta ani zlotówką... Ale zarazem raz jeszcze chciałbym podkreślić dużą pomoc naszej „Ceramiki”, no i — wbrew powszechnym opiniom o apatii społecznej — żywe, społeczne zainteresowanie i pomoc samych mieszkańców.

— Te dwa nowe bloki mieszkalne nie rozwiążą jednak zapewne aktualnych trudności mieszkaniowych.

— Oczywiście, że nie. Mamy jednak opracowany program budownictwa mieszkaniowego do roku dwutysięcznego. Zakłada on zagospodarowanie terenu leżącego przy stacji, gdzie powstanie osiedle domków jednorodzinnych, ustawionych szeregowo. Będzie to tzw. osiedle Ceramików. Mamy już pięciu zainteresowanych rozpoczęciem budowy. Obecnie jednak opracowuje się dokumentację uzbrojenia tego terenu, z uwzględnieniem kontenerowej oczyszczalni ścieków.

— A doprowadzenie wody?

— Wodociąg mamy, bowiem kilka lat temu wybudowano ujęcie wody dla całego miasta. Niestety, nie jest to nawet dziś ujęcie dostatecznie sprawne funkcjonujące. Zainstalowano bowiem pompę o zbyt małej wydajności i np. mieszkańcy ul. Kościuszki nie zawsze mogą korzystać z dostarczanej na bieżąco wody... Przy tym jej jakość budzi wiele zastrzeżeń — jest ona nadmiernie żelazniona. Jeśli więc przepompownia jest w stanie zaspokoić potrzeby całego miasta, to jednak należy wymienić pompę a także rozbudować węzeł uzdatniający ujęcie wody. Tu liczymy, jak zawsze, na pomoc LZCB i innych naszych zakładów pracy, bowiem nasz Rejon Obsługi Mieszkańców, podległy Przedsiębiorstwu Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej w Zaganiu, nie ma na to finansowych środków. Wydaje się, że niezbędne jest usamodzielnienie tej naszej firmy, przez co stworzyła by się możliwość jej wzmocnienia. Formalne uzależnienie od Zagania bardziej nam utrudnia niż ułatwia pracę.

— Może na zakończenie kilka słów o problemach życia kulturalnego Gozdnicy?

— Z tym jest różnie. Na przykład mamy niebagatelne osiągnięcia w rozwoju kultury fizycznej. Istnieje międzyzakładowa liga sportowa z wieloma konkurencjami, działająca pod patronatem LZCB. Co roku przeprowadzamy rozgrywki i eliminacje, na święto Pracowników Budownictwa organizujemy finał, prezentując najlepszych zawodników. Co zaś się tyczy kultury jako sposobu samorealizacji własnych zainteresowań przez mieszkańców miasta, to tutaj nie stworzyliśmy jak dotychczas odpowiednich warunków. Trwa, niestety dość długo, remont kapitalny i modernizacja domu kultury, dzięki finansowej pomocy Wydziału Kultury i Sztuki UW w Zielonej Górze i LZCB. Roczna dotacja z UW wynosi około 5 mln zł, z LZCB — około 10 mln zł. Trochę funduszy uzyskujemy z podziału nadwyżki budżetowej Urzędu Miejskiego. Na ten rok otrzymaliśmy już 20 mln zł z „Ceramiki” i 10 mln zł z UW. Dotychczas wyremontowaliśmy salę widowiskową, trwają dalsze prace nad budową nowej siedziby biblioteki, która być może zostanie oddana do użytku w przyszłym roku. Będzie to duży, funkcjonalny obiekt, przyłączony do pomieszczeń domu kultury. W jednym z nich — jeszcze w tym roku — otworzymy kawiarnię dla młodzieży, z dyskoteką i różnego typu grami. Takie są nasze najbliższe zamierzenia.

Myślę, że tych wszystkich, którzy totalnie negują dorobek społeczny i wszystko spozstrzegają przez ciemne okulary, warto by zaprosić do odwiedzenia niewielkiej Gozdnicy — maleńkiej cząstki kraju.

KRZYSZTOF KLON

CZERWIEC

Był to miesiąc obfitujący w wydarzenia. Zdominowały je jednak wybory w dniach 4 i 18 czerwca. Wyniki są znane. Wkrótce zbiorą się na swych pierwszych posiedzeniach nowo wybrany Sejm i Senat. Za padną dalsze, ważne decyzje. Liczymy na to, że będą one po myślnie dla Polski i jej obywateli. W czerwcu Zielona Góra była przez tydzień stolicą radzieckiej i rosyjskiej piosenki, dobrze służąc zbliżeniu między narodami wielkiego Kraju Rad i nami. O przebiegu Festiwalu Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze piszemy wewnątrz numeru. Tu chcemy przypomnieć, że w gronie wyróżniających się działaczy Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej znalazła się nasza redakcyjna koleżanka, red. Halina Anska-Skarbek, której Zarząd Główny TPPR przyznał Złoty Medal „Za umacnianie przyjaźni między Polską a ZSRR”, za wieloletnią pracę publicystyczną i monografię dotyczącą Festiwalu, obchodzącego w tym roku swoje XXV-lecie. Gratulujemy!

DNI WORONEŻA

Bez mała tydzień trwały w Gorzowie Dni Kultury Woroneża, które zbiegły się z Dniami Gorzowa. Wypełniły je liczne imprezy: koncerty, także w innych miastach województwa, wystawy, spotkania. Zakończył je koncert przyjaźni „Woroneż — Gorzów”, w którym wzięły udział zespoły radzieckie, polskie i z NRD. Podpisano także umowę o dalszej współpracy i wymianie kulturalnej między woj. gorzowskim i obwodem woroneżskim w latach 1989 — 1991. Dni Kultury Woroneża a wcześniej występy w Gorzowie Akademickiego Teatru Dramatycznego im. A. Kłocowa i robocze wizyty grup konsultacyjnych w obu współpracujących regionach stanowiły już realizację tej umowy. Przewiduje ona dalszą wymianę programów artystycznych, grup folklorystycznych i estradowych, wzajemne wizyty twórców różnych dyscyplin sztuki, a także bibliotekarzy, muzyków, pedagogów, muzealników i uzdolnionej młodzieży uczelni artystycznych. Mają temu towarzyszyć działania popularyzatorskie, sprzyjające zbliżeniu obu współpracujących z sobą regionów, m.in. wydawnictwa, wystawy, wideo kasety, etc.

MUZEUM ODRY

W początkach czerwca dokonano uroczystego otwarcia

pierwszej części ekspozycji Muzeum Odry w Nowej Soli, poświęconej przyrodzie naszej wielkiej rzeki. Nowosolska ekspozycja stanowi jedno z ogniw Muzeum Odry powstającego z inicjatywy katowickiego dziennikarza red. Jerzego Kultniaka. Wystawa w nowosolskim Muzeum ilustruje w układzie historycznym bieg Odry przez poszczególne kraje oraz jej zmieniającą się przyrodę od czasów starożytnych po dzień dzisiejszy.

ZJAZD TWP

Odbył się X Wojewódzki Zjazd Towarzystwa Wiedzy Powszechnej w Zielonej Górze, sumujący dorobek za lata 1985—89 i ustalający program działania na przyszłość. W ciągu 40 lat swej działalności Towarzystwo — a wywodzi się ono z wcześniej istniejących organizacji oświatowo-kulturalnych — spełniało niezwykle pożyteczną rolę oświatową i upowszechnieniową. Prelekcje, spotkania dyskusyjne i autorskie z jednej i uniwersyteckie z drugiej to podstawowe formy tej działalności. Jej przykładem może być Zielonogórski Uniwersytet Powszechny. Nauczanie języków obcych, wyrównywanie i utrwalanie wiedzy wcześniej zdobytej, studia służb pracowniczych, wiedzy rolniczej — to tylko przykładowe formy tej działalności. ZW TWP był wydawcą kwartalnika „Przegląd Lubuski”. Pismo to, o charakterze regionalnym, przeznaczone było dla czytelników interesujących się przeszłością Ziemi Lubuskiej, jej powojenną współczesnością. Kwartalnik wydawany był przy wsparciu finansowym LKUP-u, niektórych wydziałów UW oraz WIMBP. Poważny wzrost odpłatności za usługi poligraficzne, wzrost cen papieru i honorariów autorskich spowodował, że TWP musiał się z tej działalności wycofać. W maju br. Lubuskie Towarzystwo Naukowe, któremu życzymy pomyslnie kontynuacji tego pożytecznego periodyku, zaś TWP równie pomyslnie kontynuacji swej działalności w nowych czasach. Prezesem ZW TWP w Zielonej Górze został wybrany ponownie prof. dr hab. M. Eckert.

SESJA POSTĘPU PEDAGOGICZNEGO

Wychowanie dla ojczyzny i pokoju było tematem sesji postępu pedagogicznego, jaka odbyła się w Zielonej Górze. Te

mat ten nabrał szczególnego znaczenia w kontekście ogólnoswiatowych działań zmierzających do utrwalenia pokoju, a okazją do jego podjęcia stało się przypadające w tym roku 60-lecie szkolnictwa polskiego na dawnym pograniczu zachodnim. Dyskutowano go w gronie ok. 300 nauczycieli z terenu całego woj. zielonogórskiego. Wprowadzeniem do dyskusji były wystąpienia prof. prof. Mariana Eckerta i Hieronim Szczegół, doc. dr Władysława Mosoła z Leninogrodu i Martina Strickera, kuratora oświaty i wychowania z Cottbusu.

DZIEŃ LEŚNIKA I DRZEWIARZA

Centralna Akademia z tej okazji odbyła się w Zielonej Górze. Wzięli w niej udział leśnicy i pracownicy przemysłu drzewnego z terenu całego kraju, wśród nich także wiceminister Rolnictwa, Leśnictwa i Gospodarki Żywnościowej Henryk Antosiak. Stwierdził on m.in. „W rezerwie uważa się, że jedyną drogą poprawy ekonomicznych warunków leśnictwa jest ucyfrowanie całej gospodarki żywnościowej”. Za służonych leśników udekorowano odznaczeniami państwowymi, resortowymi i regionalnymi, m.in. Krzyże Kawalerskie OOP otrzymali: Marian Adamski i Ryszard Konarski z Zielonej Góry, Wacław Małyszko ze Szczecina i Robert Roguszczyk z Sulechowa. Ogłoszono także wyniki współza-

wodnictwa za 1988 r. najlepsze wyniki wśród OZLP osiągnęła Pila przed Zieloną Górą, wśród OTL Stary Sącz przed Porynem i Ślupskiem. Wśród Ośrodków Budownictwa Leśnego najlepsze okazały się Usztyki Dolne przed Opolem i Zarami.

ZAPROSILI NAS

Wydział Kultury i Sztuki UW w Zielonej Górze oraz MBP w Zaganiu na uroczystość Dnia Działacza Kultury, Wydział Kultury i Sztuki UM w Zielonej Górze na spotkanie z tej samej okazji w Klubie ZPW „Polska Wełna”, Instytut Historii WSP i LTN do udziału w sympozjum nt. „Wojny napoleońskie na ziemiach polskich i ościennych”; Komitet Organizacyjny na Mistrzostwa Europy w piłce siatkowej inwalidów w Drzonkowie; organizatorzy Harcerskiej Wiosny Kulturalnej na prezentację dziecięcych i młodzieżowych zespołów artystycznych w Zaganijskim Pałacu Kultury; Zarząd Oddziału TNOiK w Zielonej Górze do udziału w Walnym Zebraniu Delegatów; BWA w Zielonej Górze na otwarcie wystawy poplenerowej „Łagów 88”; Lubuskie Towarzystwo Kultury na sympozjum naukowe nt. wybranych problemów Lubuska; Wydział Kultury i Sztuki UW w Gorzowie na otwarcie wystawy rysunku satyrycznego A. Chodorowskiego i plakaty z Woroneża. Dziękujemy!

„Jak otwierać te drzwi?”

Pod takim tytułem w poprzednim numerze „Nadodrza” opublikowaliśmy artykuł Elżbiety Leńskiej, poświęcony 150-leciu światowej fotografii oraz tegorocznej imprezie gorzowskiej „Konfrontacje Fotograficzne”. W wyniku niedopatrzeń w tekście znalazły się następujące nieścisłości:

— Przytaczane przez autorkę nazwiska ludzi związanych z fotografią winny brzmieć: Katalin Baricz, dr Antoni Dufek i Władysław Klimczak.

— Zestaw RFN-owskich fotogramów „Inscenizacje” znajdował się w kraju i można go było zaprezentować w Gorzowie.

— Prac znanego francuskiego fotografa J.E. Atgeta paryskie Muzeum Narodowe nie zechciało zakuć już po jego śmierci.

— Lech Morawski przedstawił w Gorzowie tryptyk, którego pełny tytuł brzmiał: „Relacje” (autobiografia, reprodukcje).

— W Katowicach nie wiadomo, że w Gorzowie można zaprezentować znajdujący się w tym mieście zbiór prac Józefa Bańdy.

— Piotr Stasik stosuje podłoża malowane srebrną farbą i widocznymi pociągnięciami pędzla naśladując „w tradycyjny sposób — tak winno brzmieć zdanie, które uległo zniekształceniu.

Autorkę i Czytelników przepraszamy. (RED.)



„MISTRZ Z PIECZARKA W HERBIE”

W związku z artykułem „Mistrz z piecarką w herbie”, który ukazał się w numerze 10 Waszego pisma, pragnę zwrócić uwagę na moment dotyczący Liceum Ogólnokształcącego w Wolsztynie. Ponieważ nie udzielaliśmy odpowiedzi na listy, ani nie byłem poinformowany przez nikogo, że taki artykuł zostanie wydrukowany, czuję się w obowiązku stwierdzić pewne nieścisłości. Dotyczy one w pierwszym rzędzie kontroli NIK-u. Była to kontrola dokumentacji remontu kapitalnego oraz wykorzystania środków finansowych. Nie było mowy o „podejrliwości” dotyczącej sposobu zdobycia pieniędzy, a o prawidłowym ich wykorzystaniu. Odbyła się (kontrola — dop. red.) w sposób rzeczowy i bardzo pomocny w dalszej pracy. Remont szkoły nie miał bezpośredniego związku z „Turniejem Mistrzów”. Konkretnie jego przeprowadzenie władze Kultury Oświaty i Wychowania w Zielonej Górze dostarczyły o wiele wcześniej. Przydział środków przypadkowych zbiegł się z Turniejem. Prawdą jest, że rodzice, uczniowie, zakłady pracy, miej-

scowe władze administracyjne zrobiły bardzo dużo, aby nie czekać tylko na pieniądze z zewnątrz.

Z poważaniem mgr. Feliks Matuk

KOLARZ Z URODZENIA

Z zainteresowaniem przeczytałem artykuł red. K. Holyńskiego o losach świetnego kolarza, za którego ja też uważam Zbigniewa Spruchę z „Trasy” Zielona Góra. W artykule tym jest mała zmiana: że kiedy Spruch kończył służbę w „Legii” Warszawa, już czatowały na niego inne kluby. Pan K. Holyński przemilczał jednak, o jakie kluby chodzi. A przecież swego czasu było bardzo głośno o tym, że Spruch po wojsku trafił do sekcji kolarskiej „Orlita” Gorzów i będzie jeździł u boku Zenona Jaskulę. Zda je się, że pisał nawet o tym „Gazeta Lubuska”. W każdym razie mówiło się o tym w Gorzowie i przecież red. Holyński powiada o tym wiedzieć. Ciekawe, czy mam rację?

Jako kibic i sympatyk sportu myślę, że w „Nadodrzu” powinno być więcej o sporcie. Życzę wielu udanych artykułów sportowych i pozdrawiam.

Andrzej Markowski Gorzów Wlkp.

Od autora: Ma pan rację. Jednym z klubów, które pragnęły mieć u siebie Zbigniewa Spruchę, były „Orlita” Gorzów. O sprawach tych nie napisałem szerzej, bo nie uważałem je za tak ważne w chwili, gdy stały się nieaktualne. Faktem bowiem jest, że utalentowany kolarz postanowił na trwałe związać się z rodzinną Zieloną Górą.

Krzysztof Holyński

LUBUSKIE PERSONALIA

TADEUSZ FIRLEJ, l. 62 — (żona Leokadia, laborantka medyczna, na emeryturze, s. Florian, l. 33, technik górniczy, pracownik Spółdzielni Inwalidów w Gubinie, dwóch wnuków) — absolwent gimnazjum w Nowym Sączu oraz studium prawniczego Ministerstwa Sprawiedliwości we Wrocławiu, od 1951 r. w Gubinie: inspektor prokuratury powiatowej, instruktor KP PZPR, następnie Ligi Przyjaciół Zolnierza, kulturalno-oświatowy powiatowego domu kultury, od 1974 r. sekretarz oddziału miejskiego PTTK, bohater wielu reportaży m. in. Mariana Brandysa (w słynnym tomie „O królach i kapuście”) Jana Marii Gżegosa, Janusza Krasieńskiego, Jerzego Lovella, Ryszarda Rowińskiego, Romualda Szury, Alicji Zatrębny (Sztuka obierania kartofli) współzałożyciel w 1957 r. i aktualny wiceprezes Gubińskiego Towarzystwa Kultu-

ry, działacz Ligi Ochrony Przyrody, poeta, fotografik — amator, filmowiec — amator, współorganizator imprezy „Wiosna nad Nysą”, członek komitetu redakcyjnego jednolitej „Echo Gubińskie” wydanej przez GTK w grudniu 88 r., odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi, piętnaście lat temu jako sekretarz PTTK przejął przy przejściu granicznym w Gubinie zdewastowany budynek po b. łaźni miejskiej i po ogromnych kłopotach, pożarach etc., przy pomocy wielu ludzi adaptował go na dom turysty — kawiarnię, klub, 45 miejsc noclegowych. Hobby: turystyka, także rowerowa, na rowerze zwiedził całą Polskę, ogródek działkowy — uprawa roślin szczególnie chronionych, majsterkowanie.

ZDZISŁAW GRUBERSKI l. 50 (znak Barana, żona Krystyna — zastępca dyr. w Zespole Szkół Budowlanych w Zielonej Górze, córka Anna studentka III r. prawa w UAM, pies Kuba — ratler, magister filologii polskiej, w WSP w Opolu, członek PZPR od 1967

r.; nauczyciel w Zaganiu, od 1971 r. w Zielonej Górze, kolejno: kierownik Miejskiego Ośrodka Kultury, kierownik Wydziału Kultury i Sztuki UM, zastępca dyrektora WDK i przez ostatnich 12 lat dyrektora WDK oraz dyrektora Międzynarodowego Festiwalu Zespołów Pieśni i Tańca; przewodniczący komisji kultury ZW TPPR; zainteresowania poza pracą zawodową: mediewistyka, historia Polski, archeologia śródziemnomorska, folklor; ulubiona lektura: „Trylogia” Sienkiewicza, ulubione postacie historyczne: Stefan Batory i Kazimierz Jagiellończyk; hobby: kolekcjonowanie ciekawostek historycznych obyczajowych; w ludziach ceni prawdziwość, raz go zakłamanie i dąlenie do kariery za wszelką cenę; od 1 maja br. główny specjalista ds. wydawnictw pozaprasowych w Zielonogórskim Wydawnictwie Prasowym, aktualnie opracował folder i „Krzyżówkę” z okazji 25-lecia Festiwalu Piosenki Radzieckiej.

ANDRZEJ RABENDA l. 45 (znak Koziorożca, żona Jadwi-

ga — stomatolog, w przeszłości Jadwiga Otulak — reprezentantka zielonogórskiego „Zryw”, córka: Karolina — studentka II r. medycyny w Gdańsku i Joanna — uczennica, samochód „polonez”, pies Jip — czarny spaniel, absolwent Akademii Medycznej w Gdańsku; magister farmacji i doktor nauk przyrodniczych, kierownik działu higieny pracy w Wojewódzkiej Stacji Sanitarnej-Epidemiologicznej w Zielonej Górze; hobby: muzyka klasyczna (Mozart) i jazz (Peterson, Komeda), w 1975 r. zwycięzca w telewizyjnej „Wielkiej grze” z tematu „Wszystko o jazzie”, jeden z bohaterów książki Tadeusza Zimeckiego pt. „Nie samym chlebem”; ulubione lektury: Haszka „Przygody dzielnego wojaka Szwajkara” i Durrella „Złoty dom”; „Kwartet sycylijski”, aktualnie czyta „Eksplorację w katedrze” Carpentiera; w ludziach najbardziej ceni uczciwość, rzetelność i konsekwencję; od założenia w 1983 r. w Zielonej Górze Punktu Bezpłatnego Rozdawnictwa Leków pracuje w nim społecznie, a od dwóch lat, również społecznie kieruje tym punktem.

WVII Festiwalu Kultury Serbskiej uczestniczyłem na zaproszenie zaprzyjaźnionego od wielu lat z „Nadodrzem” szefa tygodnika dolnołużyckiego „Nowy Casnik” — Horsta Adama. Z tej racji w ostatnim dniu maja znalazłem się w Chociebużu (Cottbus), skąd po krótkiej wizycie w redakcji udaliśmy się wraz z Horstem do Budziszyna pociągiem, który jechał przez piękne, zielone o tej porze, choć w dużym stopniu zaanektowane już przez rozwijający się tutaj przemysł Dolne i Górne Łużycy. Powitał nas fe stiwallowy, odświętnie przystrojony Bu dziszyn (znanawy wywodzą tę nazwę od starsłowińskiego Bude syn), o blisko tysiącletniej historii. Nam znany chociażby z zawartego w 1018 r. przez Bolesława Chrobrego z niemiec kim cesarzem Henrykiem II pokoju budziszynskiego, w wyniku którego Łu życe na krótko przypadły Polsce. W dziewięć wieków później II Armia WP na wiosnę 1945 r. toczyła w rejonie tego miasta niezwykle ciężkie walki. Stąd też śladów wcześniejszej i zgola współczesnej obecności Polaków tu wie le. Pracują tu... handlarze.

Organizowany co pięć lat z dużym rozmachem Festiwal, święto serbskiej kultury, rozpoczął się już w kwietniu, ale była to jakby próba generalna przed wielką prezentacją dorobku kulturalnego Serbów łużyckich, jaka odbyła się w Budziszynie w dniach od 1 do 4 czerwca br. Ta niewielka społeczność słowiańska zasiedziała tutaj od czasów wielkiej wędrówki ludów przed tysiącem lat, dzięki swej kulturze i wytrwa le pracy, głównie na roli, przetrwa ła zmienne koleje losów, najokrutniej sze w czasach hitlerowskiego terroru. Dopiero w NRD znalazła godziwe wa-



Serbski zespół folklorystyczny z Grodka (Spremberg)

Fot. E. SCHUTT

dowej (chóry, teatry, zespoły pieśni i tańca), łużyckim pisarzom, artystom plastycznym, kompozytorom, filmowcom. Wydaje gazetę górnołużycką „Nowa Do ba” i miesięcznik kulturalno-polityczny „Rozhled” z siedzibą redakcji w Bu dziszynie, wspomniany już tygodnik dolnołużycki „Nowy Casnik” z redakcją w Chociebużu oraz 10 innych gazet i czasopism. Posiada własne wydawnic two „Domowina” powstałe w lipcu 1958 r., szczytujące się imponującym do robkiem: od chwili swego powstania do lipca 1988 r. wydało już 2.688 po-

skiego. To pokazuje, choć daleko nie cała, baza służąca pielęgnacji i wspie raniu kultury łużyckiej — i jak mia lem okazję rozmawiać z obecnymi na Festiwalu przedstawicielami mniejszo ści narodowych w innych krajach so cjalistycznych — tylko jej pozazdrościć. Rzeczywiście, to imponujące: w te gorocznym Festiwalu wzięło udział w ponad 400 samodzielnych pozycjach programowych około 8 tys. uczestni ków, nie licząc tysięcy gości z całej NRD i z zagranicy, w tym z USA, RFN, ZSRR, Francji, CSRS, Polski. Poprze-

Korespondencja własna z Łużyc

KRASNA DRUŻKA ŁUŻICA

WIESŁAW NODZYŃSKI



Młode Łużyczanki w dolnołużyckich strojach

runki egzystencji, choć nie pozbawio ne niebezpieczeństw, wynikających z udziału w wysoko zorganizowanym, zunifikowanym cywilizacyjnie życiu społeczeństwa niemieckiego.

Nic też dziwnego, że właśnie szeroko rozumiana oświata i kultura, ma dla utrzymania a nawet umocnienia po czucia tożsamości narodowej Łużyczan tak ważne znaczenie, na co niejednokrotnie zwracali nam uwagę koledzy z „Nowego Casnika”. Spotyka się to z pełnym zrozumieniem i poparciem władz państwowych. Było to widać tak że w dniach Festiwalu, zorganizowa nego w roku 40-lecia NRD, której kon stytucja w art. 40 stwierdza: „Obywa tele Niemieckiej Republiki Demokracji narodowości łużyckiej mają pra wo do pielęgnacji języka ojczystego i kultury. Państwo popiera egzekwowa nie tego prawa”.

Organizatorem serbskiego życia na rodowego jest Domowina, mająca swą centralę w Budziszynie. Jest to wielce zasłużona dla Serbów organizacja, powstała 13 października 1912 r. w Hoyes werda, której działalność została bru talnie przerwana przez hitlerowców już w 1937 r. Wielu jej działaczy zosta ło osadzonych w obozach koncentracy jnych, lub przesiedlonych w głąb Niemiec. Wielu z nich zginęło na frontach II wojny światowej. Ponownie odtwo rzona już w maju 1945 r. działa w Gór nych i Dolnych Łużycach w oparciu o 283 grupy miejscowe (kupki) głównie w powiatach Bautzen, Kamenz, Niesky, Hoyeswerda (okręg Drezno), Weiswas ser, Spremberg, Cottbus, Calau / Lub ben, Guben/ Forst (okręg Cottbus). Pa tronuje m.in. 138 zespołów sztuki lu-

życie autorów łużyckich. W tej dzied zinie (tłumaczenia, wspólne przedsię wzięcia edytorskie) współpracuje z il cznymi wydawnictwami m.in. w Mos kwie, Kijowie, Mińsku, Pradze, Bra tystawie, Katowicach, Wrocławiu, Lju bljanie. Roczna produkcja „Domowi ny” wynosi 110 tytułów, z czego 60-70 proc. stanowią nowości. Największą z nich jest antologia prozy dolnołuży ckiej pt. „Na mjaży” („Na między”) złożona z tekstów Jurija Kocha, In grid Hustetjoc, Wernera Meškanka, Jörna Vorwalda, Sabiny Gruntowej, Petera Milana Jahna, Hynce Rychte ra, Herberta Nowaka i Moniki Skoko wej — skądinąd dziennikarki „Nowego Casnika”. Z okazji 40-lecia Republiki wydawnictwo to zapowiada rychło wno wienie leksykonu pt. „Sorben — Serbja”. Nie trzeba dodawać, że wszystkie wy dawnictwa „Domowiny” zwracają u wagę wysokim poziomem edytorskim.

Działalność „Domowiny” wspiera sze reg instytucji państwowych, m.in. Nie miecko-Łużycki Teatr Ludowy, Dom Łużyckiej Sztuki Ludowej i Łużyckie Centrum Folklorystyczne, Muzeum Łu życkiej Historii i Kultury, Instytut Ba dań Ludu Łużyckiego przy Akademii Nauk NRD w Budziszynie, redakcja Łu życka radia NRD w Cottbus, Instytut Serbo-Łużycki w Uniwersytecie im. Karola Marksa w Lipsku i Łużycki In stytut Kształcenia Nauczycieli w Budzi szynie, dwa licea ogólnokształcące w Budziszynie i Chociebużu, dwie państ wowe łużyckie szkoły językowe w Mil kel (powiat Bautzen) i w Dissenchen (pow. Cottbus). W 66 średnich szko łach politechnicznych w Górnych i Do lnych Łużycach naucza się języka serb

ciąg dalszy na str. 4

Po Festiwalu Piosenki Radzieckiej

CO DALEJ?

HALINA AŃSKA

Minął jubileuszowy 25-ty Festiwal Piosenki Radzieckiej i pozostało pyta nie, co dalej? Bo tak, jak było dotych czas, być dłużej już chyba nie powin no.

W poprzednim „Nadodrze” wspomnia lam o kolejnych przeobrażeniach, jakie w ciągu ćwierćwiecza ten festiwal prze szedł. Nadeszła pora na kolejny taki za bieg. Konieczność tę niesie życie. Zmie nia się kultura bycia, życia, nadawania, odbioru. To, co podobalo się ludziom przed dziesięć laty, dziś mało kogo wzrusza. Zmienia się publiczność: przy byli nowi młodzi ludzie.

W kręgach dziennikarskich, także wśród amatorów, w tym roku częściej, niż w poprzednich latach, mówiono o „przestawianiu formuły”. Pod słowem „formuła” widziano różne sprawy: regu lamin konkursu prowadzącego w efek cie do Zielonej Góry, zasady rządzące rywalizacją na festiwalowej estradzie, wreszcie samą prezentację amatorów oraz śpiewanych przez nich piosenek.

Konkurs, którym festiwal co roku jest poprzedzony, przebiega od lat tak sa mo. W tym roku wleciało weni, cicho jakoś i do końca niebył wyrażnie, okazjonalny „konkurs 25-lecia”. Rozma wiałam z kilkoma amatorami, którzy wypowiadali się na ten temat krytycz nie, twierdząc, iż wyrażają opinię więk szości koleżanek i kolegów.

Mówili m.in. o sposobie oceniania wy konawstwa piosenek. Kryteria są jedna kowe, tymczasem piosenki i ich wyko nanie bardzo różnią się — stylem, ryt mem, nastrojem itp., od pieśni i ballad, poprzez „piosenki środka”, do rocka. Ich zdaniem solista śpiewający Okudza wę tylko przy akompaniamencie wlas nej gitary nie powinien być oceniany w tym samym szeregu, co głosny rytmicz ny i roztańczony zespół wokalnomo zyczny, mający za sobą efektowne instru mentarium i reprezentujący przebojo wy styl.

Ten punkt widzenia już parę razy bra ny był pod uwagę w Zielonej Górze, np. w 1968 roku jury pod kierownictwem Wojciecha Maklakiewicza przyz nało nagrody w dwóch kategoriach: so listów i zespołów.

Druga rzecz to repertuar; jakie mają być te piosenki, by sprostały wymaga niom jury? Wreszcie trzecia sprawa, o której mówili amatorzy, to coś w rodza ju niedosytu wrażeń i rozczarowania. Każdy przyjeżdża do Zielonej Góry z ci chą nadzieją na Samowar, ale szczęście osiąga tylko małe grono. Reszta, po kon cencie kwalifikacyjnym odjeżdża z ni czym. Tak przynajmniej było w tym ro ku.

Moim młodym rozmówcom zwróciłam uwagę, że takie są reguły gry we wszyst

kich konkursach, np. na Miss Polonie czy Miss Uniwersum, gdzie korona jest tylko jedna.

Na to odpowiedziała mi jedna z dzie wczyn, że w ubiegłych latach, o czym wie od swego instruktora, nagród było o wiele więcej, a ponadto każdy wyko nawca czuł się w pełni usatysfakcjonowany — ponieważ w koncertach fina lowych brali udział wszyscy, nie tylko zdobywcy głównych nagród.

Jest to prawda, tak faktycznie bywa ło. Reżyserzy — w 1977 r. Włodzimierz Gawroński, w latach 1978 i 79 Janusz Rzeszewski, w 1980 r. Ryszard Kubiak i w latach 1982, 83 i 84 Hilary Kurpa nik, także później Ryszard Ray-Zawadz ki, wykorzystywali tłum młodych ama torów do sytuacji na scenie. Była to dla tychże okazja pokazania się raz jesz cze publiczności, przydania się na coś, dowartościowania uczestniczenia w festi walu do końca.

Trudno w ciągu 2-3 dni skonstruo wać widowisko. Ale nie jest to rzecz niewykonalna, o czym mieliśmy się oka zię przekonać nie jeden raz. Prawda, że koncerty tegoroczne miały tempo i prze biegały z nerwem, bez dłużyzn, były wesołe, nie marudziły, nie nudziły. Mi mo to jednak odbiegaly daleko od ocze kiwan widowni Anno Domini 1989, wychowanej na widowiskach wręcz szalo nych, a więc nastawionej maksymalnie na zaskoczenie, oka mgnienie zask Stąd ten entuzjizm dla Larysy Doliny i jej zespołu w tym roku, także dla grupy „Dialog”, stąd grzmoty oklasków dla Iriny Ponorowskiej, Lajmy Wajkule i grupy „Bravo” w roku ubiegłym, stąd wreszcie szal, z jakim był przyjęty Mi sza Muromow czy Walery Leontiew, a wcześniej Alla Pugaczowa.

Jest w tym jeszcze coś. Mówi się, że swój wyczuje swego Ojca publiczność w amfiteatrze, złożona w co najmniej osiemdziesiąt procentach z młodzie ży, bezbłędnie wyczuwa „swolch” Ak centu i nagradza albo autentyczną młodość, szczerotę i spontaniczność, al bo tylko szczerotę i spontaniczność, na tomiast nie przemawia do nikogo sztyw na, sztuczna i pretensjonalna kreacja. Stąd powodzenie wykonawców, których nazwiska wyżej wymieniałam. Stąd też graniczące z kłeska chłodne przyjęcie innych, np. Zdzisławy Sołnickiej, któ ra swój aktualny image powinna pi kaczować wyłącznie w telewizji.

Czy kogoś w ogóle obchodzi, że ta za służona i utalentowana artystka piewa sze kroki na estradzie stawiła w Zie lonej Górze w pierwszym konkursie pio

ciąg dalszy na str. 4



Edyta Mikita z Kiele zdobywczyni Złotego Samowaru.

Fot. CZ. LUNIEWICZ

Trwające już od kilkunastu lat imprezy towarzyszące festiwalom piosenki radzieckiej w Zielonej Górze mają charakter interdyscyplinarny. Obejmują literaturę i malarstwo, a w bieżącym roku do programu wprowadzono także fotografię. Po raz pierwszy bowiem w Muzeum Ziemi Lubuskiej urządzono wystawę fotografii Michaiła Szmerlinga z Witebska. Zaprezentowano ponad 50 fotografii artysty znanego nie tylko w Związku Radzieckim, lecz również z wyśław swoich prac w Czechosłowacji, NRD, Wielkiej Brytanii, Hiszpanii, USA, Kanadzie, Japonii i Indiach. Dzięki pięknym fotografiom można poznać, w ujęciu poetycznym i lirycznym, pejzaże jego rodzinnego miasta, ludzi tam mieszkających.

SŁOWO I OBRAZ

dzieckich i polskich, w tym m. in. Paweł Lasik, Franciszek Małuszczak, Jolanta Zdrzałik, Aleksander Szejtunow, Stanisław Antos i Adam Bagiński. Wiele w tych obrazach łagowskiego pejzażu, fragmentów urokliwych uliczek, już prawie zabytkowych domków. Artysta prezentuje różne konwencje i różnorodność zainteresowania tematyczne, przy czym jest zrozumiałe — także różnicowanie poziomów ich prac. Niemniej, takie wystawy ogląda się z przyjemnością i jakże często — z uczuciami przeżytych estetycznych i emocjonalnych. Łagowski Plener Przyjaźni sprawdza się co roku, zbliża polskich i radzieckich twórców, przynosi wymierne efekty artystyczne. Szkoda tylko, że ich prace można oglądać z tak dużym, rocznym opóźnieniem.

cych. Dodajmy, że Szmerling jest współautorem albumów „Witebsk”, „Miejsca pamięci Witebszczyzny” oraz „Architektura Witebska”. Należy do grona aktywnych działaczy społecznych, związanych zwłaszcza z ruchem ochrony środowiska. Sądzę, że warto w przyszłości kontynuować popularyzowanie tej stosunkowo młodej dziedziny sztuki.

Natomiast powracając do imprez uświetnionych już pewną tradycją, należy wspomnieć o poprzedzającym festiwal malarstwu „Plenerze Przyjaźni”, odbywającym się jak zwykle w Łagowie. W tym roku taki Plener odbył się po raz czternasty. Do tej uroczystości, choć coraz bardziej zaniedbanej miejscowości przyjeżdżali: Sapa Osmonaliew, Anatolij Worobiew, Nazim Rakhmanow, Witalij Rubanik, Sapa Torobekow, Irina Łaptiewa i Wiktor Łukianow. Towarzyszyli im polscy artyści: Jolanta Zdrzałik, Janina Habbas, Edward Habbas, Janina Zemol, tel. Jacek Spisacki, Jan Cegiłka, Maria Zanto-Kurka, Juliusz Woźniak, Ryszard Patzer, Grzegorz Banaszkiewicz, Henryk Krakowiak, Paweł Lasik, Stanisław Czarnecki, Wiktor Nowicki i Dorota Komar-Zmysłony Komisarzem Pleneru, jak zwykle sprawnie organizującym po był artystów w Łagowie była Jolanta Zdrzałik. Prace tam powstałe będziemy mogli obejrzeć w Zielonej Górze w przyszłym roku. Natomiast podczas rozpoczęcia tegorocznego FPR w salach BWA otwarto wystawę prac, będących plonem Pleneru Przyjaźni — Łagów 88. Wystawiało 20 autorów (ra-

dać z tak dużym, rocznym opóźnieniem).

Z kolei inną, już po raz szesnasty organizowaną imprezę, były Dni Literatury Radzieckiej połączone z Ogólnopolskim Sympozjum Rusycystycznym i spotkaniami pisarzy Kraju Rad z polskimi czytelnikami oraz miejscowym środowiskiem literackim. Tego roku do Zielonej Góry przyjechali poeci i prozaicy: Czinniz Abdullajew z Baku, Iwan D. Timofiejew z Czuwaszi, Alek Saltuk i Oles Zygunow z Witebska oraz Włodzimierz Gordiejczew z zaprzyjaźnionego z Gorzowem Woroneża. Podczas licznych spotkań w zielonogórskich szkołach, w świetlicach, w Domu Kultury oraz w Międzyzdrzeckiej Miejsko-Gminnej Bibliotece Publicznej, towarzyszyli im pisarze lubuscy z prezesem zielonogórskiego oddziału ZLP Januszem Koniuszem i członkiem prezydium ZG ZLP Zdzisławem Morawskim z Gorzowa. Odbyło się wtedy wiele imprez literackich wzbudzających żywe zainteresowanie przemianami zachodzącymi w Związku Radzieckim oraz rozwojem sytuacji radzieckiej literatury. W Zielonej Górze twórcy Kraju Rad uczestniczyli w spotkaniach w KW PZPR oraz WK SD, podejmowali ich prezydent miasta. W siedzibie LTK wspólnie z malarzami, uczestniczyli w interesującym spotkaniu dyskusyjnym poświęconym sposobom zbliżenia narodów w budowaniu wspólnego europejskiego domu. Otworzyło to spotkanie wystąpienie prof. dr. hab. Mariana Eckerta, który przedstawił w postaci też

własne w tym przedmiocie przemyslenia. Oczywiście, nie obyło się bez kontrowersyjnych i żywych dysput oraz refleksji.

Podczas pobytu w Świebodzinie delegacja radzieckich pisarzy odwiedziła dom kultury oraz regionalne Muzeum mieszczące się w Ratuszu, natomiast w Międzyzdrzu z zainteresowaniem również obejrzała miejscowe Muzeum i jego zabytki. Wcześniej jednak pisarze byli obecni na otwarciu XVI Ogólnopolskiego Sympozjum Rusycystycznego w sali WSP, jak zwykle starannie zorganizowanego przez gospodarzy zielonogórskiej uczelni czyli Katedrę Filologii Rosyjskiej, przy współpracy Zarządu Wojewódzkiego Polskiego Towarzystwa Ru-

sycystycznego, Lubuskiego Towarzystwa Kultury, Zarządu Wojewódzkiego TPPR oraz Związku Literatów Polskich.

Przybyłym na Sympozjum rusycystów z kraju i zagranicy, pisarzy radzieckich i polskich powitał rektor WSP prof. dr hab. Kazimierz Bartkiewicz po czym głos zabrał przewodniczący delegacji radzieckich twórców — prozaik, autor wielu powieści o tematyce sensacyjnej Czinniz Abdullajew, mówiąc o przemianach zachodzących w ZSRR oraz roli, jaką spełniają w nich pisarze wszystkich narodowości. Wykład inauguracyjny o „Radzieckiej literaturze i publicystyce w procesie przebudowy ZSRR” wygłosił doc. dr hab. Florian Nieuważny z Uniwersytetu Warszawskiego. Później dwudniowe obrady potoczyły się w trzech sekcjach: historycznoliterackiej, językoznawczej i dydaktycznej. Załowac jedynie należy, że tym obradom nie towarzyszyło zbyt liczne zainteresowanie, zwłaszcza ze strony studentów rusycystyki.

Myszę, że podobnie jak w latach ubiegłych, organizatorzy imprez towarzyszących Festiwalowi Piosenki Radzieckiej, dołożyli wszelkich starań, aby wypadły one jak najlepiej. Nastąpiło dalsze zbliżenie twórców z obu krajów, lepsze wzajemne poznanie i zrozumienie. Z satysfakcją trzeba też odnotować i to, że lubuscy pisarze zostali zaproszeni do Witebska w przyszłym roku.

ZENON LUKASZEWICZ

CO DALEJ?

ciąg dalszy ze str. 3

senki radzieckiej? Było to przed 26 laty. Nie obchodziło to nikogo, łącznie z kierownictwem artystycznym festiwalu i konferansjerami. A przecież można było ten szczegół jakoś wygrać — oczywiście grzecznie i z wdziękiem.

Można było też, a nawet należało z okazji jubileuszu, podkreślić, że związki z tym festiwalem mają inni piosenkarze występujący w koncercie profesjonalistów — jak Danuta Stankiewicz, Barbara Sikorska, Felicjan Andrzejczak czy Tatiana Kauczor. Czasem można coś wygrać także kilkoma ciepłymi słowami.

Reasumując tegoroczne popisy polskich profesjonalistów w Zielonej Górze wspomnę najpierw rok ubiegły, kiedy to jak mówi piosenka był „kanal i banal”. Teraz sytuacja się powtórzyła. Honor polskiej estrady uratował zespół „Papa Dance” — z autentycznym wdziękiem młodości, w zgodzie ze światową modą, świetny wizualnie i muzycznie.

Parę słów o orkiestrze akompaniującej, dyrygowanej przez Stanisława Fijałkowskiego. Na konferencji prasowej postawiłam zarzut, że akompaniament zagłusza całkowicie głosy solistów, zwłaszcza w utworach lirycznych, wykonywanych w skupieniu. Ponieważ jest to stały, powtarzający się co roku grzech festiwalu, sądziłam, iż powodem są raczej „geste”, ujednolicone bez względu na charakter piosenki aranżacje, niż błędy w nagłośnieniu, gdyż te ostatnie można przecież poprawić nawet w trakcie koncertu.

Zmieniłam zdanie po wysłuchaniu retransmisji festiwalu w TV — i przyznam rację Jarosławowi Kukulskiemu, który jako przewodniczący jury odnosił to samo wrażenie, co ja, jednak twierdził, że winę za to zagłuszenie ponoszą „specjaliści” od nagłośnienia amfiteatru, dodając do siebie — prawdopodobnie sami dotknięci głuchotą. W telewizji głosy solistów brzmiały niemal idealnie, czytelne były teksty piosenek, a akompaniament taki, jaki być powinien.

Nie mamy w Zielonej Górze szczęścia do konferansjerów. Twarze z telewizyjnego okienka rozczarowują. Co innego mówić do kamery, co innego do kilku tysięcy ludzi. Także scena ma swoje wymagania: trzeba na niej

pokazać się w całości. Trafnie określił ktoś tegoroczną parę zapowiadaczy: „te dwie sieroty”. Bez wdzięku, temperamentu, refleksu, błysku. Po prostu: tepe odwalenie zapowiedzi.

Koncert estrady radzieckiej zaskoczył wszystkich: była gorąca herbata z samowara, fortepian z którego trysnęła kolorowa fontanna, a dyrygent Michaił Finberg wjechał na scenę prawdziwą „wół”, prosto z Mińska. Poznałszy laureatki I Festiwalu Piosenki Polskiej w Witebsku i sympatyczny duet małżeński z Wilna. Wystąpiło śpiewające dziecko, pudełek na smyczki, usłyszeliśmy romans, rock oraz song o Chrystusie.

Był to wieczór z ogniem, dymem i czaudem oraz dwiema gwiazdami dużego formatu: Larysą Doliną i Tamarą Gwercitieli. Larysa jest kobietą o żelaznych płucach, widać, że poza talentem ma zdrowie; śpiewa, tańczy, kocha życie, publiczność, cały świat, nieustannie na pełnym luzie.

Tamara Gwercitieli jest zjawiskiem niepokojącym i porwującym. Ma dopiero 27 lat — świat stoi przed nią otworem. Ma wszelkie dane, by stać się drugą Edith Piaff, kto wie, czy nie wspanialszą niż tamta, bo bardzo, bardzo piękna.

Myszę, że przyszłość estradowa jest także przed Dżemmą Chalid — jedną z dwóch zwyciężczyń z Witebska. Piosenka „Kocham się, życie” z repertuaru Geper, w wykonaniu Dżemmy nabiera ostrej drapieżności, aż ciarki chodzą po skórze.

Jaki był ten jubileuszowy festiwal? Otóż chyba nie taki jakiego oczekiwaliśmy. Nienajlepszy i nie „inny” — jak to zapowiadano wcześniej. Dość szary i przegazony. Ale może inny być nie mógł — w czasie, w którym żyjemy? Tyle jest codziennych kłopotów i trudności, które kładą się cieniem na wszystko, co widzimy i co słyszymy.

Nie dotyczy to nastolatków! Ci bawili się świetnie — skacząc, tańcząc i wariując. Na widowni fruwały baloniki i misie, powiewały flagi, co rusz wynurzały się z ławek jakieś hasła i napisy.

Pośpiewaliśmy, pośmialiśmy się, odpoczęliśmy trochę od codzienności. To jest także ważne, prawda?

HALINA AŃSKA

KRASNA DRUŻKA ŁUŻICA

ciąg dalszy ze str. 3

Wydarzeniem było jednak brawurowe wykonanie trzeciego dnia Festiwalu przez orkiestrę PZLKL i połączone chóry lużyckie „Lipa”, „Budisyn” i „Meja” pod dyr. wybitnego współczesnego kompozytora lużyckiego Jana Bulanka oratorium wg. tekstu XIX w. pisarza serbskiego Handrija Zeljera z muzyką współczesnego mu kompozytora Awgu sta Kocera pt. „Podlęko” („Przedwiośnie”). I tu głównym motywem tego dzieła było życie na Łużycach, pełne optymizmu, umiłowania natury i wiary w człowieka. Za jego mistrzowskie wykonanie Jan Bulank w imieniu całego zespołu odebrał od publiczności długotrwałą owację i całe narzęcza kwiatów. Kontynuacją muzycznego tematu Festiwalu był koncert symfoniczny w Niemiecko-Serbskim Teatrze Ludowym, w czasie którego przedstawiono no najnowsze utwory współczesnych kompozytorów lużyckich: Jana Rauppa-Rawpa, Jana Paula Negela, Jana Thiemanna, Detlofa Kobjeli i Heinza Rojza.

Ważnym dla kultury Łużyczan wydarzeniem było oddanie do użytku nowego gmachu Muzeum Serbskiego w starej dzielnicy Budiszyńska — Ortenburgu. Dotychczas mieściło się ono w Serbskim Domu. I to też miało swoją wymowę: w gruntownie wyremontowanym starym pałacu mieściło się w czasie wojny budiszyńskie gestapo. W holu muzeum ustawiono obelisk, wykonany w 1946 r. z okazji pierwszego spotkania w Budiszyńcu serbskich studentów. Napisało na nim w kilku językach: „Z Waszych mogił Słowianie / Z martwych wstali Łużycanie / Go rąco Wam dziękujemy / Wieczną pamięć zachowamy”. Muzeum zawiera w trzech podstawowych działach: historycznym, etnograficznym i serbskiej literatury wiele interesujących eksponatów związanych z historią Łużyc, go dnych osobnego opisu. Tu tylko refleksja: zwłaszcza te w dziale etnograficz-

nym często przypominają te z Muzeum 1000-lecia w Międzyzdrzu.

Stąd było już blisko na stary cmentarz serbski. To też kawał historii Łużyc. Byliśmy tam z mężem koleżanki z „Nowego Casnika”, wspomnianej już Moniki Skokowej, Polakiem na konsularnym paszporcie — Januszem Słoką. Wynotowałem nazwiska z kilku grobów: Michał Hornik — serbski naukowiec i pisarz (1833—1894); Jurij Mijnyk — literaturoznawca i poeta (1927—1971); Marija Mijnykówna — pisarka i krytyk literacki (1934—1971); Michał Nawka — pisarz, poeta, kompozytor, redaktor, antyfaszysta (1885—1968); Karl Jannack (jego imię nosi Instytut Kształcenia Nauczycieli w Budiszyńcu) — działacz KPD, więzień obozu w Buchenwaldzie, po wojnie działacz niemieckiego i międzynarodowego ruchu robotniczego (1891—1968); Arnost Muka — nauczyciel, rektor, organizator życia kulturalnego Serbów (1854—1932); Jurij Wjela — nauczyciel, pisarz (1892—1969); Na tablicy pamiątkowej, bo grobu nie ma, wyrzyto nazwisko Jana Skali, wybitnego go działacza serbskiego, który zginął w nie wyjaśnionych do dzisiaj okolicznościach tuż po wojnie w Polsce, w okolicach Namysłowa. Piękny cmentarz, położony w cieniu ruin starego kościoła.

Niedziela, 4 czerwca, była ostatnim dniem Festiwalu. Rano msza w kościele św. Piotra na Starym Mieście. Odprawiona w języku serbskim przez katolickiego księdza, proboszcza Dietera Rothlanda. Kościół jest wspólny dla katolików i protestantów. I choć jest podzielony na dwie części, wspólnie uczestniczyli oni w mszy. Proboszcz mówił w kazaniu m.in. o znaczeniu pokoju wśród ludzi, wartości kultury w życiu Łużyczan. W ciągu dnia zagęszczenie imprez. Wśród nich kiermasz książek z udziałem serbskich autorów. Podpisywali swoje książki m.in. Jurij Brezan, Ben Budar, Tomasz Nawka, Jan Malink, Jurij Krawka, Marija Krauwec. Ja przywożem wspomnianą antologię prozy dołnołużyckiej. Ostatni spacer po Budiszyńcu i ostatnie piwo. Na zakończenie udział w towarzyszącej siostry Moniki Skokowej, Marii, pięknie wyglądającej w górnołużyckim stroju — w koncercie na estradzie przed Teatrem Ludowym krakowskiego zespołu Pieśni i Tańca z Uniwersytetu Jagiellońskiego — „Słowianki”. Zal był wyjeżdżać od sąsiadów zza miedzy. A następny Festiwal chyba dopiero za osiem lat, bo i tu zaczyna się mówić o potrzebie oszczędności, a taki Festiwal kosztuje.

WIESŁAW NODZYŃSKI



Śmierć

W samotności

Niedawno w pewnym mieszkaniu przy ulicy Morelowej w Zielonej Górze znaleziono zwłoki mężczyzny, leżące w łapczanie stojącym we wnętrzu pokoju. Przeleżały tam około pięciu miesięcy.

SĄSIEDZI

— Ostatni raz widziałam Kowalczyka tuż przed Wigilią — mówi sąsiadka z dołu. — Siedział pijany na ławce przed domem. Potem to już nie zwracałam uwagi. Poszłam do córki, która mieszka tu niedaleko. Większość czasu spędzam u niej — kontynuuje — albo jadę do Gorzowa do drugiej córki. Takie nieszczęście, wie pani, pięć lat temu jej nogi straciły władność. Jedź więc, pomagam, podtrzymuję na duchu.

— Oczywiście, zauważyłam, że go nie ma. Przecież zawsze było go widać, czy to na klatce schodowej, czy też siedzącego na ławce. U siebie w mieszkaniu często włączałam radio. Słyszałam też, gdy byli u niego koledzy. Rozmawiali wtedy głośno przy wódecie. Zauważyłam, że od pewnego czasu wszystko przycichło, ale nie jestem przecież najbliższą sąsiadką. Tu, na moim piętrze, wiem, co się dzieje. A szczerze mówiąc, w ogóle nie znam dobrze tych ludzi. Mieszkam w tym domu zaledwie od dziesięciu lat. Z sąsiadami znam się o tyle, o ile. Najczęściej chodzę do swojej córki.

Pani Zawistowska otwiera drzwi. Zaprasza mnie do środka. Bardzo chętnie porozmawia na temat Kowalczyka. Znała go od dawna. Mieszkał po sąsiedzku od kilkunastu lat.

— To prawda, lubił sobie wypić. Często widywałam go podchmionego, blakającego się w pobliżu domu lub na klatce schodowej. Miał też wielu kolegów, takich od kieliszka, szczególnie: wtedy, gdy dostawał emeryturę. Brał okrągłą sumkę. Pytałam kiedyś listonosza, to powiedział, że 65 tysięcy. Przez krótki czas była u niego jakaś kobieta, ale uciekła. Bliż.

— W spółdzielni mówiłam kilka razy — opowiada dalej. — Zauważyłam przecież, że nie widać człowieka od świąt Bożego Narodzenia. To się nigdy przedtem nie zdarzało. Był samotny. Nie miał nikogo. Ostatni raz pytałam te panie od czynszów czy płaci. Powiedziały, aby się zainteresowały, ale nie przejęły się tym zbyt. Pani Ela, ta co wydaje kartki na mięso, stwierdziła, że to sprawa milicji. Dali mi do zrozumienia, że opłata czynszów to tajemnica i nikt nie powinien się tym interesować.

— Proszę pani, jak można było do czegoś takiego dopuścić. — mówi kolejna rozmówczyni. — Ludzie nie mają już serca. To zwykła znieczulica. Też widywałam często Kowalczyka. Pił, ale raczej nikomu nie wadziło, nie zaczepiał ludzi.

— Z synem chcieliśmy nawet zaprosić go na Wigilię. To przecież takie rodzinne święto, a on nie miał nikogo. Okna w jego mieszkaniu były pozamykane, więc pomyśleliśmy, że nie ma go w domu. To musiało się stać jeszcze przed Wigilią.

Listonosz też zauważył zniknięcie starego człowieka. Interweniował w spółdzielnię. Gdy roznosił emerytury, nigdy nie było go w domu. Zostawił więc awiza w skrytkach, ale te leżały nietknięte.

— W lutym po licznych telefonach zawiązała się milicja i straż pożarna — mówi Zawistowska. — Po drabinie wspieli się na trzecie piętro, ale przez zasłonięte okna nic nie było widać. Powiedzieli, że nie mogą wejść do środka, bo do tego potrzebny jest nakaz. Nie nie czułam żadnego zapachu. Mieszkam na parterze a drzwi frontowe przez cały czas są otwarte.

ADMINISTRACJA SPÓŁDZIELNI

Pani z zarządu spółdzielni słyszała o wydarzeniu, ale nie na ten temat nie może powiedzieć. O niczym nie wiedziała. Nikt nie zgłaszał, nikt nie przychodził. A w ogóle to dziwi się bardzo, że prasa interesuje się takimi sprawami. Wysyła mnie w końcu do biura, gdzie pobiera się czynsz za mieszkanie. Tamte panie na pewno o wszystkim wiedziały.

— My jesteśmy od egzekwowania należności — mówią pracownice kas spółdzielni. To administracja i kierownicy powinni byli się tym zająć. Poza tym nie mieliśmy żadnych podstaw, aby interweniować. Czynsz za grządź był zapłacony. Co się stało z tymi kolejnymi miesiącami, to awizowaliśmy.

Ponaglań oczywiście nikt nie odbierał. Sprawę do rozstrzygnięcia sądowego możemy wnieść dopiero po trzech miesiącach niepłacenia przez lokatora czynszu, czyli termin ten wypadłby akurat na teraz.

Maj jest jednak w tym wypadku już piątym miesiącem.

Okazuje się, że sekretarka dzwoniła do dzielnicowego Osiedla Morelowego. Dzwoniła w styczniu, ale odpowiedziano jej, że musi być lekarz, prokurator, i że trzeba zadzwonić do Wydziału Kryminalistyki WUSW. Nikt inny, tylko oni powinni się tym zająć. I w tym miejscu sprawa utknęła.

EPILOG

Przyjechali dziesiątego maja ponaglani przez liczne wezwania mieszkańców tej klatki. Fotorozkładającego się ciała był już nie do zniesienia.

Po drabinie wspieli się na trzecie piętro i wybili szyby w mieszkaniu Kowalczyka. Nie zabrali go jednak od razu. Potrzebne były maski na twarze, rękawice, worek plastikowy. Ponownie zjawili się około dwunastej w nocy i wtedy znieśli worek ze zwłokami po schodach. Ani w klatce, ani przed domem nie było już nikogo. Ludzie szczerze pozamykali swoje mieszkania. Dokuczliwy fetor gnijącego ludzkiego ciała długo będzie im się dawał jednak we znaki. A w pamięci pozostała ta śmierć w samotności.

Jeszcze orzeczenie lekarza: „Stwierdzono zgon osobnika płci męskiej, około 70 lat. Ze względu na bardzo zaawansowany stan gnijnych zwłok, czas śmierci, przyczynę zgonu oraz przypuszczalny udział osób trzecich bez szczególnego badania anatomiczno-patologicznego sondażu środowiskowego — niemożliwe do stwierdzenia na miejscu zdarzenia przez lekarza pogotowia ratunkowego. Zgon — przyczyna nieznana”.

ALINA SUWOROW

— Czy trudno być żoną Lecha Wałęsy?
 — Bardzo trudno. Mąż pochłonięty jest działalnością na rzecz reform, wcześniej był „okrągły stół”, obecnie wyborami — czyli tym wszystkim, czym żyje Polska. Nie ma urlopu ani jakiegokolwiek wypoczynku. To wszystko w znacznym stopniu oddziałuje na mnie, na dzieci, na cały nasz dom.
 — Jaka jest rola kobiety w naszej codzienności?
 — Trudno jest być kobietą. A w Polsce chyba trudniej niż gdziekolwiek indziej. Niestety, powszechnie uważa się, że kobiety ogólnie nie chcą być tym, kim są — czyli kobietami. Aspiracje i ambicje mają typowo męskie. Wszędzie widać szeroko pojętą emancypację. Ja jestem raczej tradycyjna, trochę intymna. Egzystuję najchętniej przy mężu i dzieciach.
 — Nie sądzi Pani, że obecnie obserwuje się u kobiet większą niechęć do życia niż u mężczyzn?
 — Obecna sytuacja społeczna stała się problemem jednakowym zarówno

— Co Pani sądzi o swoim mężu, jaki to jest człowiek?
 — Ostatnio bardzo zmęczony, mający niewiele czasu dla domu, żony i dzieci. Jeśli chodzi o charakter — osobowość skomplikowana i tajemnicza.
 — Lech Wałęsa w wywiadzie dla „Nadodrze” powiedział, że nie chciał być politykiem, że życie zrobiło mu na złość i stał się tym, kim jest. Z relacji wielu jego znajomych wiem, że jest to człowiek dobroniosny i wrażliwy...
 — Ja też uważam, że mąż nie nadaje się na polityka. Polityka jest dla ludzi bezwzględnych. On zdecydowanie nie pasuje do tego grona. Niestety, życie na szczeblu państwa nie nadaje się do tego, co mój mąż kocha. Często mówi mi, że tęskni za dziećmi, gdzie znajduje się dłużej poza domem.
 — Czy jest nieufny wobec ludzi?
 — Gdyby był naiwny, zbyt ufny, to szybko zostałby igraszką, marionetką w rękach innych ludzi — właśnie tych bezwzględnych polityków. Przypada mi, że system polityczny w Polsce nie był do tej pory dobroniosny i często postępowal z ludźmi bez skrupułów.

— Pani Danuta, wielu ludzi, szczególnie młodych, nie wierzy w poprawę warunków życia w Polsce. A Pani w tym względzie jest optymistką czy pesymistką?
 — To bardzo skomplikowane pytanie. Poprzez swoją opinię nie chciałabym siać jakiegokolwiek zamętu. Trzeba po prostu walczyć o lepszy byt dla siebie i dla Polski.
 — Proszę zdradzić sekret, jak poznała Pani Lecha Wałęsę?
 — Przyjechałam do Gdańska w 1988 roku, w lutym. Pochodzę z obecnego woj. śląskiego, dawnego warszawskiego. Mieszkaliśmy osiemdziesiąt kilometrów od Warszawy. Po przyjeździe tutaj zaczęłam pracować w kwiaciarni przy ulicy Długiej, ale wkrótce została oddelegowana do kwiaciarni przy ulicy Kartuskiej, gdzie mieszkał mój przyszły mąż, wynajmując pokój jako pracownik stoczni. Pewnego pięknego dnia w październiku podszedł do mnie... i tak się poznaliśmy.
 — I od razu Pani się w nim zakochała?
 — Nie, nie od razu. Ale później przeżyliśmy wielką miłość.



W KRAKOWIE MOGŁO BYĆ GORZEJ

Festiwal filmów krótkometrażowych w Krakowie ma już swoją tradycję. W tym roku — co też zaczyna już być tradycją — dość powszechnie oceniono, że festiwal polski reprezentował lepszy poziom niż międzynarodowy.

Opinia ta byłaby nader zgodna z prawdą, gdyby nie... pokazy informacyjne i uboczne, które zdominowały pokazy oficjalne. Odbiły się one zarówno w sile kina „Kijów” mieszczącej 900 widzów, jak i w sali przemysłowego klubu „Mikro” mieszczącej nieco więcej ponad sto osób. Na tej pierwszej było dość pełno (pozostawiały rzadko obsadzone 3-4 rzędy), w sali „Mikro” z reguły „nieistniejące” miejsca stojące były gęsto zapchane. Świadczy to o umiarkowanym doborze programu przez pełnych inicjatyw kierowników „Domu Sztuki Filmowej”.

Jury festiwalu międzynarodowego pod przewodnictwem profesora Jerzego Toeplitza z głównymi nagrodami nie miało kłopotu, bo radzieckie filmy „Biała wrona” (o dziewczynie podejrzanej o to, że jest wrogiem narodu) i „Spasi i sochran”, o młodym popie przy chodzącym z pomocą ludziom swej parafii oraz teże produkcji „Zupa z psa” o lumpenproletariacie wybiły się na czoło do dzieł festiwalowych.

To samo można powiedzieć o ostrym filmie Grzegorza Królikiewicza „Idź” o koniu zabijanym po to, aby... najadł się niedźwiedź bieszczadzki nie atakując innych zwierząt. Jedyny zabawny film festiwalowy „Wilcza suita” (produkcja bułgarskiej) o zamianach stada wilków w stado owiec i odwrotnie — wywołał wybuchy śmiechu i żywy aplauz widzów, co zapewne przyczyniło się do tego, że film dostał także „Srebrnego smoka”.

Jury festiwalu polskiego, któremu przewodził ambitny reżyser Marcel Łoziński, słusznie Grand Prix przyznało Zygmuntowi Skoniecznemu, za duży i sumienny tryptyk filmowy „Chłopski los” ukazujący dzieje reformy rolnej, kolchozacji i „odpuszczenia grzechów”.

Zdumiewająca „Defilada” Andrzeja Fidyka sfilmowana całkowicie w Korei Północnej i pozostawiona na szczęście bez komentarza ukazuje bezgraniczną miłość ludzi do swego woda.

Wśród dziesiątek pomników i kamieni pamiątkowych dla mnie najbardziej wyróżnia się wielki kamień w górach z następującym napisem: (cytuje z pamięci) „Do tego miejsca pragnę urządzić pa noramę najpiękniejszych gór świata — Diamentowych. Doszła czcigodna żona naszego woda ojca narodu ale przypomniała sobie, że nie ugotowała mięsa wi obiadu, więc po krótkim wahaniu wróciła do domu rezygnując z obejrzania gór i ugotowała mężowi obiad, który ukochanemu przywódcy narodu bardzo smakował”.

Film, jak i nagroda, zostały przyjęte przez widzów huraganowymi brawami. Drugą równorzędną nagrodę otrzymała Irena Kamieńska za ponury film „Dzień za dniem” o dwu siostrach starszuchach, których ich męskie zajęcia ży ciowe (ładowanie cegieł) totalnie wykończyło... a w czasie 36 lat ciężkiej pracy nie mogły sobie kupić N.I.C. chodzą i pracują w łachmanach licząc tylko na emeryturę, z której także nie będą mogły chyba żyć.

Natomiast jury Koła Piśmiennictwa Filmowego (do którego miałem zaszczyt należeć) dało swą nagrodę wspomnianym na wstępie „Górnikom 88”.

Gdyby nie stały i bardzo słabe filmy (głównie z Zachodu), które przedostały się przez ucho igielne selekcji, można by zestaw czołowych filmów obu festiwalu uznać za wyróżniający. Niestety, miałkość wielu porostawnych zaciemnia obraz, który jednak mógł być gorszy.

Ponawiam więc swą propozycję: róbmy jeden trzy, najwyżej czterodniowy festiwal filmów krótkometrażowych — oczywiście z filmami polskimi, by pokazać łącznie około 60 filmów a nie ponad sto. Da to szansę, że będą włączone do pokazów tylko o dzieła naprawdę najwybitniejsze krajowe i zagraniczne.

LEON BUKOWIECKI

PRZY MĘŻU I DZIECIACH

Z DANUTĄ WAŁĘSĄ ROZMAWIA BOGDAN KUNCEWICZ



Danuta Wałęsa: Nie rozumiem, co znaczy zniechęcać się...

Fot. TADEUSZ WYSZYŃSKI

dla mężczyzn, jak i dla kobiet. Psychicznie kobiety są silniejsze od mężczyzn. Potrafią lepiej znosić stresy i różne wewnętrzne napięcia.
 — A jakie jest Pani małżeństwo, kto wie, w nim prym, kto się szybciej zniechęca?
 — W ogóle nie rozumiem, co znaczy zniechęcać się. Może zaistnieć jakiś chwilowy kryzys i wtedy człowiek ma tego wszystkiego serdecznie dość. Lecz kiedy samopoczucie stabilizuje się, wszystko wraca do normy. Frustracje i kryzys winny być stymulowane przez rodzinę, obowiązki z nią związane. Człowiek dorosły nie powinien się nigdy poddawać.
 — Z doświadczenia wiem, że szybka stabilizacja samopoczucia powoduje, że człowiek zaczyna się do wszystkiego przyzwyczajać. Nie wiem, czy akurat w naszych warunkach jest to możliwe.
 — Jest możliwe. Aby to osiągnąć, należy postępować zgodnie z własnym sumieniem i mieć odrobinę nadziei, która jest elementem niezbędnym do życia każdemu człowiekowi. Brak nadziei sprawia, że ludzie są przygnębieni, żyją bez celu, tak z dnia na dzień. Taka postawa nie jest zgodna z powołaniem człowieka. Powtarzam: trzeba w życiu wyznaczyć sobie cel i siły na jego realizację.
 — Lech Wałęsa mówił niedawno, że jest Pani jego ideałem. Czy czuje się Pani ideałem Lecha Wałęsy? Czy mąż stawia wobec Pani duże wymagania?
 — Mam swoje obowiązki, a mąż ma swoje. Na codzień zajmuję się domem i wszystkim co się w nim dzieje, dziećmi. A czy jestem ideałem męża...? Nie wiem. Niemniej jednak bardzo lubię, gdy on tak mówi.

— Jak traktują Panią sąsiedzi? Są pełni uznania czy też zazdrości i zawiści?
 — Mam wolno stojący domek, w którym mieszkamy od pół roku. Z sąsiadami nie utrzymujemy kontaktów. Natomiast gdy idziemy do kościoła, zauważamy objawy sympatii. Ludzie z naszej ulicy uśmiechają się, pozdrawiają nas, kłaniają się.
 — A w sklepie?
 — Rzadko chodzę do sklepów. Często inni kupują mi niezbędne produkty.
 — Ludzie chętnie o Pani i o Pani mężu plotkują, mówią o waszej willi z basenem, która w rzeczy samej jest skromnym domkiem.
 — Gdy mieszkaliśmy w Gdańsku, na Zaspie, w bloku i mieliśmy sześć pokoi, to ludzie również mówili, że ma my bardzo luksusowe mieszkanie. Nie brali pod uwagę, ile nas mieszka w tym mieszkaniu. Ludzie są bardzo różni, są wśród nich i tacy, którzy mi zazdroszą... i tacy, którzy twierdzą, że nigdy by nie chcieli być na moim miejscu. Powiem panu szczerze, obecnie w ogóle nie przejmuję się plotkami na nasz temat, chociaż chciałabym, aby mówiono o nas jak najlepiej. Żeby ludzie wreszcie zrozumieli, że wszyscy ulepieni jesteśmy z jednej gliny, że nie powinniśmy utrudniać sobie nawzajem życia a raczej wzajemnie sobie pomagać.

— Jak wyglądał ten pierwszy okres małżeństwa, kiedy mąż Pani był jeszcze osobą nieznaną?
 — Byliśmy tylko dla siebie i dzieci.
 — I wszystko zmienił Sierpień 1980?
 — Tamten sierpień, wspominam jako najpiękniejszy miesiąc w moim życiu. Potem zaczęła się gonitwa, która trwa do dzisiaj.
 — Czy Pani się bała?
 — Raczej nie. W Sierpniu 1980 roku ludzie byli niezwykle dobrzy dla siebie. Lepiej się rozumieli, nikt na nikogo nie patrzył wilkiem. Mojej rodzinie było wtedy dość ciężko, gdyż brakowało podstawowych artykułów spożywczych. Z pomocą przychodzili różni. Co prawda było mi głupio korzystać z tej pomocy, przyjmować żywność itp. Ludzie jednak nalegali. Rozumieli moją sytuację, w domu pięćka dzieci, mąż na czele strajku powszechnego, atmosfera niepewności. Obecnie, pomimo iż Lech jest osobą znaną nie tylko w Polsce, chociaż tutaj oficjalnie dopiero teraz uznaje się to nazwisko, panuje tu pełna inna atmosfera. Dużo się zmieniło. Chciałabym, żeby atmosfera nastrosów społecznych z Sierpnia 1980 powróciła. Chciałabym, aby ludzie byli szczęśliwi, rozumieli się nawzajem, wyrzucili z siebie zawiść, zazdrość, kłótniwość.
 — Jak zareagowała Pani na fakt wprowadzenia w Polsce stanu wojennego?
 — Sam fakt wprowadzenia stanu wojennego nie zrobił na mnie większego wrażenia. Zabranie męża z domu też nie było tak bardzo straszne. Rozmawialiśmy o takiej ewentualności nieraz, byliśmy przygotowani na najgorsze. Tylko zachowanie ludzi zrobiło na mnie bardzo smutne wrażenie. Błyskawicznie wszystko przycichło. Zapanował obrzydliwy strach. Ale nie bałam się, pomimo iż nie było obok mnie ludzi. Byłam w ciąży, a wówczas kobieta mniej przejmowała się tym, co się dzieje wokół niej, a więcej sobą. W styczniu 82 roku urodziła się nam Maria-Victoria, siódme nasze dziecko. Napisałam podanie z prośbą o zwolnienie męża na chrzcin. Miałam nadzieję, że przyjazd męża na kilka dni wyrwie mnie z monotonii. Niestety, moja nadzieja nie spełniła się. Wówczas pogłębiło się rozczarowanie. Zrozumiałam, jak mało zależy od nas samych...
 — Czy dzisiaj czuje się Pani szczęśliwa?
 — Czasami...
 — Czym jest w takim razie dla Pani szczęście?
 — Jest czymś najistotniejszym, jest potrzebne każdemu. Trudno mi precyzyjnie je zdefiniować, ponieważ każdy je inaczej przeżywa, odczuwa. Ja czuję się wówczas tak, jak bym posiadała wszystko. Można wtedy nie mieć, być bardzo ubogim, a jednak bogatym... Dla osiągnięcia szczęścia ważne jest przebywanie z kimś, kogo się kocha, posiadanie własnego domu, który jest jak by schronieniem przed wieloma podłóściami.
 — Z wypowiedzi Pani męża wynika, że jest on szczęśliwy, kiedy czuje, że dąży do idealu. Mówi, że religia w jego życiu odgrywa zasadniczą rolę. Jaki jest Pani stosunek do wiary?
 — Dla mnie, osoby wierzącej, wiara jest jakby dopełnieniem szczęścia.
 — Niedawno wraz z mężem złożyła Pani wizytę Ojcu Świętemu. Co Pani sądzi o naszym papieżu?
 — Nie powiem nic więcej, prócz tego, że jest to niebywale wielka osobowość. Takiego człowieka spotkałam w swoim życiu po raz pierwszy.
 — Czy ktoś z Państwa dzieci jest szczególnie podobny do Lecha Wałęsy?
 — Sławek z wyglądu i charakteru przypomina swego ojca. Jest spokojny. Lubi doradzać i pomagać.
 — Czego można Pani życzyć?
 — Chciałabym, aby w naszej Polsce sprawy, które obecnie uważane są za bardzo trudne, zostały rozwiązane, by wszyscy ludzie byli szczęśliwi... jak ja czasem.

Widzieliśmy sporo wybitnych filmów, w tym zgola wstrząsający reportaż Piotrowskiego „Górnicy 1988”, którzy swymi strakami przybliżyli „okrągły stół” oraz węgierski film „Plac Rakoczego”... zdumiewający dokument o prostytucji szerzącej się na Węgrzech w sposób zastraszający.
 Oto wypowiedzi: jako pracownica miałam dochód nieprzekraczający 3,5 tysiąca forintów miesięcznie, jako prostytutka mam 30.000.
 — A co pani w swym zawodzie najbardziej lubi?
 — Jak mężczyzna, z którym wspólnie żyłam, opuszcza mój pokój.

Był też interesujący film angielski „Sex Change” na temat wybitnej londyńskiej kliniki, w której na życzenie klientów, ale po długiej i sumiennej obserwacji i przeprowadzeniu wielu niezbędnych badań zmienia się płeć męska w kobiecą i odwrotnie. Ludzie opowiadają, jak do tego doszło i jak się czują po operacjach.

O ile zabieg zmiany płci z męskiej na żeńską jest stosunkowo łatwy: po usunięciu penisa „kształtuje się” waginę i pacjentka po dwu tygodniach wychodzi ze szpitala, o tyle zrobienie pełnowartościowego mężczyzny z kobiety jest trudniejsze. Penis trzeba „przymocować”, następnie dodać jądra i stworzyć drożne połączenie obu tych dla pełnej męskości niezbędnych organów. To trwa długo, nieraz ponad miesiąc.

Powstaje pytanie: dlaczego taka zamiana w ogóle następuje. Otóż decydują się na to mężczyźni czujący się wyłączeni kobietami, mający także pociąg wyłącznie do mężczyzn i kobiety czujące się wyłącznie mężczyznami, mające tylko pociąg do kobiet.

Nie decydują się na takie operacje dwupłciowcy (biseksuali), którzy niezależnie od podstawowej płci przeżywają także same przyłeczności w obcowaniu z mężczyzną i z kobietą.

Spotkani przez twórców filmu w parku mieszkający po operacji — wszyscy operowani oświadczają zgodnie, że nareszcie czują się sobą... lecz mają kłopoty z do wodami osobistymi: „Urodził się pan jako kobieta i musi pan takim pozostać w dowodzie; to że pan chce się żenić, nie nas nie obchodzi. Urodziła się pani jako mężczyzna i to, że teraz chce pani wyjść za mąż, nie nas nie obchodzi, nie możemy fałszować świadectw urodzenia.”

Ci szczęśliwi nieszczęśliwcy żyją więc na ogół ze swymi wybranymi „na kocią łapę”. Prawo jest prawem.

Oczywiście były jeszcze inne, może mniej wstrząsające, filmy, nie znaczy, aby nie było dobrych a nawet wybitnych filmów na tle filmów zerowych.



„Plac Rakoczego” György Dobraya. Zdjęcie z węgierskiego filmu o prostytutkach

POZA PROGIEM DEBIUTU

Jest piękna wiosna 1989. Historyczna. Świetlista. Nie przypuszczałem, że przyjdzie mi czytać pierwsze wiersze młodych poetów. Obserwować rozwój, niepokój, fascynację i nadzieję. Jednym słowem zmaganie się z kształtem piękna. Z chwilą powstania we wrześniu 1988 roku Klubu Literackiego w Zielonej Górze odczułem na własnej skórze, jak zapewne to odczuwał niegdyś (niestety „niegdyś”) tu mieszkający, bezinteresowny Andrzej K. Waśkiewicz, patronujący wielu młodym literatom, iż może to być związane ze swego rodzaju poczuciem szczęścia. Tak. Satisfakcjonująca, gdyż młodzi następcy, najczęściej samotni, bezradni, jeśli się rozwijają jeśli piszą, to stają się najlepszymi, pozytywnymi nośnikami przyszłości. Tylko głupcowi na takiej przyszłości może nie zależeć. Jeszcze inna rażąca i wartość. Nie ma nic bardziej przebiegającego niż pustynienie duchowe określonych społeczności. Takie pustynienie zawsze nam tutaj zagrażało. Iż to razy mówiliśmy o bezruchu i marazmie? Jednak fakt, że w trzech ostatnich latach pojawiła się grupa poetów na pewno obdarzonych sporą dozą autentycznego poetyckiego talentu, każde żywiołowe nadzieje na kontynuację obłaskawiania chaosu. Młody poeta, chwytający za pióro, a czyni to najczęściej instynktownie, przyczynia się do wielkiej rzeczy, którą można tylko odnieść do biblijnego światła rozjaśniającego ciemność. Porównanie może się wydać górnołotne, ale chyba też najbardziej adekwatne. Klub Literacki (zbierający się na niedzielnych comiesięcznych spotkaniach) nie stanowi platformy krystalizacji pokoleniowej świadomości, nie sformułował też własnego programu poetyckiego, gdyż nastawiony był głównie na wywołanie nowych talentów. I z tego zadania — uważam — na miarę lokalnych warunków się wywiązał. Kilku dziesięciu autorów, młodszej i starszej generacji, którzy tu zaistnieli najlepiej o tym świadczą. Mogli się ze sobą spotykać, konfrontować poglądy upodobania estetyczne, prezentować publicznie swe najnowsze wiersze. Czy szansa, jaką stwarza Klub literacki wykorzystywana jest w pełni? Czy można by — oczekiwać jeszcze czegoś więcej? Zapewne tylko jednego. Większej preżencji i uczestnictwa w pracach Klubu. Szerszego wychodzenia ze swojej twórczości na łamy ogólnopolskiej prasy literackiej. Natomiast gdyby porównywać teksty młodych drukowane w biuletynach „Nasz Głos” wydawanych techniką małej poligrafii, z debiutanckimi wierszami np. Koniusza czy Szykiny, to z pewnością nie wypadłoby to zestawienie na niekorzyść dla dzisiejszych debiutantów. Zielonogórscy poeci nie wypadają też negatywnie w porównaniu ze średnią ogólnokrajową. To dobrze czy źle? Powiedziałbym, że takie porównania znaczą tylko jedno — nie mamy się czego wstydzić. Może jedynie odległość od centrów wydawniczych sprzącha nas na margines życia literackiego. Możliwość wypowiedzi są zaś podobne. Takie jest moje zdanie. Nie miejsce tu na pełniejszą prezentację osobowości. Myślę jednak, że wiele wartościowych wierszy znajdziemy w wierszach: Anny Kwapisiewicz, Doroty Muszyńskiej, Roberta Gromadzkiego, Jerzego Przybeckiego, Artura Bakosia czy Anity Simonjetz, posiadających w swoim dorobku indywidualne zbiorki poezji. Autorzy publikowali także (choć właśnie zbyt mało) w prasie ogólnopolskiej, na antenie Polskiego Radia, brali udział w konkursach poetyckich. Dzisiaj nie wiem kto zrobi i jaki następny krok. Każdy ma szansę stworzyć arcydzieło. Zapewne w każdym piszącym dzieła się rzeczy ważne, które mogą (lecz nie bez pracy) na głąb objawić się utworami wybitnymi. I na nie trzeba cierpliwie czekać. Dużo też zależy a może przede wszystkim od umiejętności dochowania wierności zasadom moralnym, ważnym przy uprawianiu wszelkiej twórczości, determinującym związek słowa z rzeczywistością. Warto o tym pamiętać, bowiem żadne cwaniactwo nie uchodzi bezkarnie. Być może nie wszyscy młodzi traktują sprawę tworzenia z należytą oowagą. Wierzę jednak, że o kilku przynajmniej, a może choćby o jednym (już to będzie zwycięstwo) jeszcze nie jeden raz usłyszymy. Jeśli Klub Literacki Lubuskiego Towarzystwa Kultury działający pod patronatem oddziału ZLP przyczynił się w części choćby do takiego rozbudzenia ducha, to stało się już bardzo dużo.

CZESŁAW SOBKOWIAK

Krzysztof Fedorowicz

Proces

Gdy uchylasz drzwi światło
oblatujące pokój wita się
przez próg, wiatr podnosi się
i gna we wszystkich kierunkach
garstką kruków, które
chowają się w pięcioliniach, na słupach
telegraficznych, karuzelach latarni.
W ręce wpada pióro: ptaki wracają
i są jak piasek w jego trybach. Dopóki
nie wysypią się w korytarze dłoni
przypominając mrówki uciekające
przed ostatnim wcieleniem

Robert Gromadzki

Rozmowa z Robertem Lovellem

Jackowi Napiórkowskiemu

nie cenią cię zbyt wysoko
wydałem 450 zł aby móc pogadać
z tobą na osobności fotela
o który opieram zmęczone plecy
po całodziennym malowaniu okien

zapach farby w ustach nie pozwala
przypomnieć smaku papierosów więc
muszę błądzić po wyobraźni żeby
odnaleźć to co palę i przy okazji
spotkać ciebie

pogadać jak przyjaciele
minionego czasu którzy odpuszcili
swoje odległości i zamienili daleką
przestrzeń na centymetry

teraz pomiędzy jednym a drugim
twoim wierszem rozpalam pragnienie
kolejnego papierosa połączone tykiem
czystej wódki i wtedy zaczynasz
tańczyć choć nikt nie podejrzewał
że ty poeta potrafisz tańczyć tak
dobrze że dziewczyny w dyskotekach
nie o tobie nie wiedzą

jakże często identyfikują nas z
podręczną schizofrenią i trzepoczącym
krokiem lecz my starzy przyjaciele
przechodząc przez kolejne ulice
nabawiamy się choroby czarnych liter



rys. ANNA KWAPISIEWICZ

Anna Kwapisiewicz

nie pyta o kolor moich trybun
i czy jeszcze w coś wierzę
że jest na pewno

tak — noszę na sercu
dwa skrzyżowane drewnianki na dobrą wróżbę
od chwili gdy omalany pepowina krzyk
zbudził miejscową akuszerkę

wtedy planeta zwana ziemią
dotknęła moich stóp
a niewidzialne wargi powietrza
szepotały powitanie i czułość

ustaliłam że żyję
do re mi z tekturowej trąbki
baraszkowało w piaskownicy sylab
pośród baśni o Wernyhorze i Stańczyku
krajnie gdzie chleb łamie się sam
na równe części

naiwna ciekawość świata —
nie przypuszczałam że i mnie wyznaczono w nim
numerowane krzesło obietnicy i złudzeń

Robert Rudiak

Dym

moja dziewczyna
zginęła w Oświęcimiu

jej ciało
zamieniło się w dym

przez komin
popłynęła do nieba
jak wiatr

szukałem jej grobu
na twarzy Boga

pytałem
co z nią uczynił
ale on wzruszając ramionami
tylko milczał

do upojenia płuc
oddycham
słodkim zapachem jej ciała
głęboko wciągając w siebie

jak najdalej
jak najwięcej
do serca

depczę
opadły popiół z jej piersi
i całuję
na przemian

patrzę
w czarną sól jej oczu

Wiesław Laskowski

już
z końca w koniec zmierzone
zapisane
dopięte na ostatni guzik
kręci się świat na tej samej osi
kot w koronie na puszczy
wróbel na gałęzi
opowiada historię zdarzy się
przy sobie nos psa i kota
Franciszek pod szłote głaszcze brata wilka
Weronika ze skrzydełkiem w ręku
Stasio w kucki kontempluje kwiat wiosny
to z tej to z owej strony

Dorota Muszyńska

Szaletstwo

o obłęd można posadzić
obłęd można wymyśleć
na obłęd można się zgodzić
świadomy lub nieświadomy wybór
nieporozumienie lub zaprzestanie walki
ale życia
które nawet śmiercią się podkreśla
nie można ominąć
jak prawdy do której się zmierza
nie można pozbyć się lub nabyć

Jerzy Przybecki

Pamiętam lato i łód ciepłych kamieni
zmoknięte dłonie obwisłe serce
zastygłe ślady
Może zwykłymi niemi zeszły sumienie
cedzonych dzisiaj łatwo słów
z których odeszła zachłanność środka

Anita Simonjetz

przeraża mnie
niestatość pamięci
jej ciemna niekonsekwencja
od czasu pożyżona

nim pokazała barwę kwiatu
z zaledwie bladocielonym zamysłem listeczka
już pochowałam
nadzieję
na odzyskanie pamięci
twojego głosu ust dłoni włosów
i łagodnych linii brwi

Matka zaprosiła ją, żeby przyszyła na drinka z okazji otwarcia ich stoiska, gdzie będzie trochę ludzi z firmy. Natychmiast zaczęła ubierać swoją piękną sukienkę w prążki, a ja zostałem przy swojej rzeźbie z rękami w glinie, że nawet nie mogłem jej objąć, gdy wychodziła. Koło czwartej zadzwoniła. W głosie było słychać takie samo podniecenie, jakie przy poprzednim telefonie było po niej widać. Wtedy jeszcze sądziłem, że to od alkoholu. Szli w jedno miejsce coś zjeść. Czy mam ochotę się przyłączyć. Co to za „oni” szli, mogę się zaraz przekonać. I tak znalazłem się w restauracji indonezyjskiej, za długim stołem wśród mnóstwa ludzi, których nie znałem, ale gdzie Olga czuła się już najwidooczniej zupełnie jak w domu. Przynałmnie z lubością przykładała się do tego powierzchownego pierniczka. Czasem aż się obejrzałem w jej stronę, czy to rzeczywiście ona koło mnie siedzi, tak mi się robiło dziwno. A cały czas uprzejmi indonezyjscy kelnerzy w batikowych chustach na głowie pochylali się między nami ku stolowi i bezgłośnie stawiali miski i miseczki koło talerzy. Pawian podniósł kieliszek, wydukał parę zdań swoim uach-uach. Przedwcześnie rozległy się brawa i skwaszony opróżnił duszkiem kieliszek i go odstawił. Natychmiast buchnął piekielny koncert noży i widelców. Nie padło już ani jedno słówko. Każdy chapał i się napychał. Kiedy spojrziałem ponad stołem, wokół trafiałem prosto na głowę tego pawiana, który tak nieapetycznie ścigał z patyczka kęsy satehu tą swoją wielką paszczą, że podobny był do gada, który musi potrzymać chwilę w pysku zbyt wielki łup, żeby złapać oddech. A zestaw ryżowy tak skotłował na swoim talerzu, że wyglądało to jak nieokreślona kupa małych wymiocin. Spojrzałem po stole i wtem nagle uderzyło mnie, że ten wysoki wiotki dryblas, co siedział koło jej matki, bo był ich najlepszym kontrahentem, uśmiechając się jakby zół gumę, najwyczałniej w świecie flirtując ponad wyprężnionymi do połowy talerzami, miseczkami i kieliszkami z moją Olgą. A ona mu odpowiada. Kurwa mać! Czulem to. Wiedziałem po nim. Miałem takie uczucie, jakby się pod stołem opłatali nogami. Ręce zaczęły mi drżeć i nie mogłem już przelknąć ani kęsa. Czulem jak wzbiera we mnie ochota, żeby jednym szarpnięciem za obrus rozpleprzyć całe to piękne przyjęcie. Zdaje się, że Olga poczuła, jak się we mnie aż coś gotuje. Nic nie mówiąc i nawet nie śmiając spojrzeć na mnie, wstała i wyszła do toalety. Za chwilę on poszedł za nią. Wiedziałem, że zaczeka na nią w tym ciemnym korytarzyku za szatnią. Ze ją tam przez chwilę capnie. Zobaczyć, jak te jego brudne zapocone dłonie ścisną materiał jej sukienki. Nie wiedziałem, co mam robić. Trudno było doskoczyć mu do gardła tylko dlatego, że poszedł do ubikacji. Wrocie nastawienie, jakie wyczułem u stołu, zmieniło się w poszeptowania i prześmieszki. Odczułem nagłe współnictwo wszystkich obecnych. Miałem ochotę na cały głos zaśpiewać marsza Radetzky'ego, tak jak to zawsze robił jej ojciec: Dupa cye, dupa cye, dupa cye, cye, cye. Albo puścić w obieg tamto jego zdjęcie, jakie mu ta podła krowa kazała zrobić, gdy już nie żył i leżał na marach, mówiąc przy tym: „Ładne zdjęcie. Leży z taką godnością. Szkoda tylko, że się poruszył.” Ale tylko siedziałem zesztywniały z zacisniętymi pięściami koło talerza. Tak zobaczyłem ich wracających między stolikami, a kiedy ją przepuszczał przodem koło palmy, dotknął jej przelotnie z tyłu, jakby już była jego. Podły uśmiešek nie schodził z jego gęby. Podszedł z nią, wysunął jej krzesło, zrobił elegancki gest i podsunął znowu krzesło kiedy siadła. Wiedziałem, że pewnie pożądlwie spojrzal jak jej dupa opadła na siedzenie. A przy stole puszczają oko, cichcem się śmieją a mały łysy księgowy, który i tak już wyglądał w tym fraku jak ubrany karaluch, i który od dawna powtarzał jej matce, że taka dziewczyna ze światła interesu nie jest na właściwym miejscu w tym ubogim świecie artystycznym, teraz nawet zakaszła znacząco, żeby dać poznać, że i on ze swoim liczydlowym mózdzkiem wszystko na wylot zrozumiał. Krew jakby całkiem ze mnie odeszła. W głowie miałem lodowate zimno i pięściami musiałem dusić skurcz w żołądku. Naraz w oczach tego pawiana naprzeciw mnie zobaczyłem, co się stanie, zanim sam się zdążyłem zorientować. Jego szczeciaste brwi skoczyły w górę i przesunęły pomarszczoną miękką skórę na czole do przetruszonej czupryny. Wtedy ze mnie chlunęło. Wiedziałem bryzg na talerzach i ściankach kieliszków. I na ubraniach ludzi naprzeciw mnie. Tamten goryl dostał nawet parę chlapnięć, wielkości monety, na głowę. Parę kobiet zapliszczało, a każdy odłożył sztućce i przestał żreć, bo za zębami poczuł jedzenie jak wymiociny. Nadszli wybitkowi kelnerzy, którzy też nie bardzo wiedzieli, co z tym fantem zrobić. Na dokładkę puściłem z ust falę bryli koloru zupy pomidorowej, która chlapnęła na obrus plakatem wielkości supernaleśnika. Z wyraźnym rozpoznawalnym łajnowatym zlepkim kawalków mięsa, strączków katjangu i strawionych w połowie przez soki żołądkowe resztek pieczonego śledzia z południowej przekąski. Kwasy zapach rozszedł się po restauracji. Wszędzie przy stolikach przerywano jedzenie i z oburzeniem patrzono na plamę. Łzy napłynęły mi do oczu z powodu okropnego niesmaku w głębi nosa. Ktoś szarpnął za moje krzesło i kierownik firmy zapłtał z odwróconą na bok twarzą, czy nie byłaby pora, abym udał się do toalety. Nie odcierając twarzy serwetą wstałem i poszedłem między stolami do ubikacji. Wiedziałem, że obracają się w ślad za mną głowy. Słyszałem ich szepty. Ale nie wiedziałem. Kiedy znikłem z ich oczu, w korytarzyku do toalety, nogi mi się zaczęły plątać. Musiałem się przytrzymać ściany, bo kolana uginały się pod mną. W toalecie podszedłem do jednej z umywalki i oparty na wyprostowanych rękach spojrziałem w lustro. Przeraziłem się swoim widokiem. Twarz miałem przeczerniała białą i oczodoły jak u Bustera Keatona. Z kąta ust biegł upakany ślad ku brodzie. Przyjrzałem się sobie. Myślałem, że umrę z powagi. Wtem poczułem wypychaną nową falę. Nie nachyliłem głowy do umywalki, tylko puściłem to prosto w lustro. Nie czekałem, aż moja twarz znowu stanie się widoczna spod spływającej bryli. Nabrałem tyk wody i wypukałem kwaśne grudki z ust. Potem poszedłem do kąta, urwałem odcinek ręcznika i wytarłem twarz i ubranie. Wtem wszedł pawian. Nie zauważył mnie. Podszedł prosto do umywalki, przed którą dopiero co stałem. I wtedy po raz pierwszy mogłem zrozumieć, co powiedział. Na cały głos bluznął: „Kurwa mać” i poszedł do drugiej umywalki. Po chwili przydrętał mały łysy księgowy w upstrzonym fraku. Za pleców słyszałem jak mówi do pawiana: „Tu też jeszcze coś jest. O-

kropność!” Wyszedłem i w korytarzyku prawie wpadłem na Olgę, która wyprzedziła matkę. Nie spojrzała na mnie i chciała sobie pójść do damskiej toalety. Moja pięść nagle uderzyła. Prosto w jej oko. Uchyliła się do tyłu i oparta o ścianę stała z pochyloną głową, jakby nie chciała wybuchem szalu tuszować faktu, że sama jest wszystkim wina. Ale jej matka zaczęła wymachiwać wokół siebie torebką i łapała się, żeby mnie powstrzymać. Odepchnąłem ją ręką na bok i nagle moja dłoń zapadła się w tamto nie pod uszywnionym materiałem, gdzie była ta wyjęta pierś. To już było nie na moje nerwy. Ruszyłem przez salę restauracyjną do wyjścia. Usłyszałem pisk jej głosu ponad innymi: „Cham!” I przez jedno mgnienie widziałem, jak pozostali goście stali każdy za swoim krzesłem, podczas gdy batikowe głowy potulnie sprzątały ze stołu. Pobiegłem przez hol na dwór, ale nagle przystanąłem i z opamiętaniem wsiałem do taksówki, która dostarczyła do restauracji jakąś indonezyjską parę. W domu oteplaliśmy z bólu zwałiliśmy się łóżko, nawet nie wiedząc czy spałem, czy leżałem półprzytomny, kiedy zadzwoniła do mnie w środku nocy. Powiedziała, że to chyba dla mnie oczywiste, że nigdy nie wróci do domu. Ze potwornie wygląda z tym podbitym okiem i że to było już drugi raz w ciągu paru miesięcy. (Tak to rzeczywiście było. Kiedyśmy raz wrócili z przyjęcia przez Oude Zijds Achterburgwal zaczęła się po pijanemu wieszak na szyi jakiegoś sutenerowi, który w lot pojął, co to by dla niego była za gratka. Z trudem udało mi się ją od niego odciągnąć. A ponieważ ten tchórz nie kwapił się do bicia, ona oberwała ode mnie, w oko. Ale nie tak mocno, jak za drugim razem.) To mnie zmroziło. Powiedziała, że może spokojnie zostać dalej w tym hotelu,

Sceny miłosne w literaturze pięknej

pójdzie na dno kanału Ren-Amsterdam, gdy oni w rozpacz będą walić pięściami w szyby, a statki kilwaterem zatrą ślady zbrodni. Wlokłem ich martwe ciała po plaży, żeby je porzucić tam, gdzie nikt ich nie znajdzie. Pozwalałem, żeby na niestrzeżonym przejeździe pociąg rozjechał ich na marmoladę. Linczowałem ich. Łamałem kołem, torturowałem w podziemiach. Zwyczajnie wdeptywałem w ziemię, póki nie zostało po nich nic więcej oprócz głębokich odcisków moich zełówek. Jedynie, co po tych demonicznych snach na jawie stawało się dla mnie jasne, było to, że nieodwołalnie ją straciłem. Ze przegrałem. Ze co najwyżej mogę się jeszcze wybranzdłować przy jej zdjęciach, kiedy ta mieszanina uczuć zemsty, nienawiści i gniewu ustąpiła tej potwornej wykończającej tęsknocie do niej. Po czym z ostatnim zdyszaniem krzyknem ten domek z kart walił się i zostawił mnie samego z sobą i z zaplamioną pościelą. Kiedy wreszcie nie mogłem już tego wytrzymać i wyrwałem się z tej śmierdzącej nory, wypakowałem najpierw do śmieci kocio balaski, szczyrby gipsu, cuchnący wazon z kwiatami, które już dawno ośpały się na stół, cebulę z prawie półmetrowym szczypiorem, który wybujał na blacie przy zlewku i uszczelkę kwiatki doniczkowe, po czym pojechałem do Rotterdamu. Zdobylem jego tamtejszy adres i nawet nie sądzę, żebym tam jechał po to, żeby się blić albo rozmawiać. Chciałem tylko zobaczyć dom, gdzie mieszkał. Zajrzeć do środka. Spróbować odkryć,

muje, skąd ja czerpię tyle beżwstydu, żeby telefonować po wszystkim, co wyrządziłem jej córce. Powiedziałem, że jej córka jest wciąż moją żoną i jeśli ma to się skończyć, to wciąż jeszcze to i owo trzeba załatwić przed ewentualnym rozwodem. Wtemczas dała mi Olgę. Jej głos brzmiał głucho. Spytałem ostrożnie, jak się miała. Powiedziała, że wciąż jeszcze prawie nie może patrzeć na to oko. Powiedziałem, że sobie na to zasłużyła. Długo nie nie odpowiadała i bałem się, że rzuci słuchawkę. Ale zapytała, po co właściwie dzwonię. Ze przecież wszystko między nami skończono. Powiedziałem, że to przecież byłoby niepoważne po tylu latach. Ze tak przecież nie można. Ze w każdym razie chciałbym z nią jeszcze porozmawiać. Ze mam do tego prawo, że nie może mi tego odmówić. Po mnóstwie bezsensownej gadaniny raz po tej, raz po tamtej stronie i wzajemnych wyrzutach, zgłdziła się na to. I tak w tamten spaskudzony deszczowy dzień w maju znalazłem się w pociągu do Alkmaaru przez to całe mokre zielone draństwo. Obmyśliłem, że najlepiej byłoby ją stamtąd zabrać albo udusić. I rzeczywiście wyglądałem jak dusiciel, kiedy pokazałem się na ich ulicy. Złachmaniony od deszczu i z włosami w śtrakach przez całe czoło aż do brwi. Zanim skręciłem za róg, wypaliłem jeszcze w jednej bramie papierosa, żeby mojej głowie zdążył wrócić uroczy łobuzerski wygląd. Bo współczucie to najgorszy wróg miłości. Stały w oknie. Olga i jej matka. Już ona dała swojej córce szkołę przed tą rozmową, suka jedna. Wiedziałem to po niej. I naraz też zauważyłem, że patrzą na mnie w identyczny sposób. Jakbym był łupem. Po podbiegu oka nie było już śladu. Gdy tak spojrziałem w górę, próbując wykroić jakiś uśmiech wokół mojego mokrego papierosa, pomyślałem sobie: „Centrala czarownic” (To pochodziło od ojca Olgi. Kiedy po raz pierwszy pokazywał jej Amsterdam i przechodził koło wieżowca, nad którym wisiał gesty ciemny dym, unoszący się z kominą centralnego ogrzewania, powiedział, że to właśnie jest centrala czarownic. Tak jak on też powiedział, że sparatyzowanego człowieka ze sklepu z cygarami żona więzi w pudle pod ładą.) Kiedy siedziałem już naprzeciw niej w pokoju — jej matka nie pokazała się, ale czulem, że gdzieś się zaczęła i nastawiła swoje węzowe uszy — słuchając, żeby móc przy najmniejszym podejrzeniu wpaść do środka — nie bardzo wiedzieliśmy, co powiedzieć. Miała na sobie rzeczy, które można było kupić byle gdzie w sklepie, i w których jej nie było dobrze. Wisiała na niej jak na wieszaku. Byłem ciekaw, gdzie się podziła jej sukienka w prążki. Może ją ze wstydu cisnęła do śmieci. Ponieważ nie czuła się w niej tak jak łniała jebiko. Zresztą pewnie też już źle na niej leżała. Schudła i to jej powiedziałem. Prawie tak nieźrecznie jak pierwszy komplement. Powiedziała: „Krokodyl mięso zje, a nad kośćmi płacze” i na tym na razie poprzestaliśmy. Wstałem, podszedłem do okna i popatrzyłem na kwitnące anturę na parapecie, które jej ojciec zawsze nazywał: „Kutas na półmisku”. I popatrzyłem na bramę naprzeciwko, w której stałem przed laty, żeby na mgnienie ją zobaczyć. I pomyślałem o tym, że teraz po tylu latach, tak samo szaleję na jej punkcie i że zawsze tak już zostanie. Ze nigdy mi to nie przejdzie. Zaciśnięm pięści, bo wszystko było popsute i zmarnowane. I tak odwróciłem od niej plecami, drżącym głosem zacząłem swoje wyrzuty. Czasem wtrącała coś krzykiem. Twardym i zjadliwym głosem, jakiego nigdy u niej nie słyszałem i robiła się z tego regularna kłótnia, której w końcu miałem dosyć, bo niszczyła ostatnią szansę na to, że między nami znów będzie dobrze. Odwróciłem się i podszedłem do niej. Cofnęła się ze strachem i widziałem po jej twarzy, że chciała zawołać: „Mamo” albo „Mamusiu”. W parę kroków byłem przy niej i złapałem ją za barki i już bała się zawołać, tylko patrzyła przestraszona na drzwi. Poczułem się strasznie podły i tzy nadbiegali mi do oczu, bo jedno oko miało jeszcze żółta obwódka, a ona była taka zalekniiona. Jak orzerażone zwierzę, które pojmuje, że już nie może uciec. Odchyliła się do tyłu tak daleko, że uderzyła głową o drzwi szafy. Kiedy chciałem ją pocałować, zaczęła nagle histerycznie szeptać: „Zebysz wiedział, że te usta już innego całowały. Te usta całował już ktoś inny”. Kiedy wziąłem jej usta w swoje, były wiotkie i miękkie, i także jej ciało było bezwładne. Jakby mogła osunąć się na podłogę, gdyby ją puścił. Ale żeby trzymała mocno zaciśnięte. Nie mogłem dobrać się do jej języka. Wtem za drzwiami zachrzakała parę razy jej matka. „Nie trzeba herbaty?” zapytała swoim fałszywym tonem. Trzeba. I tak siedzieliśmy znowu rozmawiając godziną po godzinie. O tym wszystkim, o czym się nie rozmawiało. Bo jeśli się o tym rozmawiało, to już jest nieodwołalnie źle. To już jest za późno. To i rozmowa już nie ma wtedy sensu. I po godzinach, kiedy już od tego pieprzenia gęba mi zesztywniała i czulem jak język tkwi suchy i nieręczysty, jej matka wtoczyła barek z kanapkami. Sama się nie pokazywała. I pozuwałem tak półgębkiem, bo się brzydziłem tych kanapek, zrobionych przez tamtą ropuchę. Potem rozmawialiśmy dalej. A właściwie ja wciąż mówiłem. A kiedy doszedłem do matki, że to ona jest wszystkim winna że to ona zamieszkała jej w głowie bo widziała korzyść dla przedsiębiorstwa w jej małżeństwie z tamtym, wtedy szeptałem i wskazywałem jak zaklinacz na drzwi, jakby tam znajdowały się całe zagrażające nam zło. Czasem oponowała, błagała i zawzięta. Ale przeważnie słuchała i potrząsała głową, jeśli z czymś się nie zgadzała. I parę razy uderzyłem poniżej pasa, mówiąc o jej ojcu. Ze tak bardzo mnie lubił i że ta cała kwestia pieniężna ani krzyk go nie obchodziła. Bo wiział że jest szczęśliwa. I że by się w grobie obrócił. Powiedziała mi się to, zanim sobie umysłowiłem, że leży spopiłony w urnie. Ale musiałem tak zrobić. Musiałem ją zmłokczyć. Musiałem przebić się przez tę skorupę, którą swoim fałszywym jezo-rem ulepiła jej matka

CDN

(Fragmenty powieści wybitnego pisarza holenderskiego w przekładzie Andrzeja Dąbrowski, przygotowywane do druku przez Państwowe Wydawnictwo „Iskry”)

RACHATŁUKUM

Jan Wolkers

(6)



Rys. LESZEK HERMANOWICZ

skąd dzwoni i spać sobie z tym gnojem. Ze nie musi używać swojego oka jako usprawiedliwienia. I że życzę jej dużo szczęścia z tym żonatym facetem, bo niech wie, że widziałem rowek na placu tamtego oszusta w miejscu, gdzie nosi obrączkę. Ze niech sobie rano pomaga kieszenie tego marynarki, to ją na pewno wyczuje. Trafiłem w dziesiątkę. Rzuciła natychmiast słuchawkę. A wtedy moja wściekłość i głębokie poczucie krzywdy wyładowały się w samoagresji. Jeden po drugim łapałem jej portrety i szkice, i tukłem w drobny mak o podłogę. Skorupy gipsu strzelały w okna i sufit. Rysunki z nią zrywały się ze ścian i darłem, i jeszcze na dodatek deptałem i jak tylko zobaczyłem gdzieś kawalek gipsu, w którym można było rozpoznać coś z niej jeszcze raz brałem i waliłem pod nogi o ziemię aż się rozprysły. Kiedy wszystko było zniszczone, obejrzałem zdyszany i śmiertelnie zmęczony rumowisko. Naraz poczułem się całkiem spokojny. Zupełnie, jakbym wszystko zostawił za sobą. Albo jakbym był całkiem pusty. Wtem natknąłem się wzrokiem na kota, który wlażył pod krzesło w kącie i patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami pełnymi strachu. Wyciągnąłem go stamtąd, położyłem się na łóżku i posadziłem go sobie na pierś. Tak zasnąłem.

CENTRALA CZAROWNIC

Przez pierwsze tygodnie potem, które spędziłem w łóżku, w fantazjach puściłem swoją mściwość na żywioł. Łożami po łbach, żeby mózg rozpryskiwał się dookoła jak smarki z nosa, z ciężkiego pistoletu pneumatycznego w skroń, do popsutego samochodu, który

Cudzoziemcy w RFN

W roku 1988 padł w Berlinie Zachodnim nowy rekord: ponad 20 tysięcy cudzoziemców osiedliło się w tym mieście. A zarejestrowanych jest tam przeszło 100 tysięcy bezrobotnych, spośród niemieckiej ludności.

Wprawdzie senator do spraw gospodarczych Berlina Zachodniego Elmar Pieroth stara się uspokoić obawy prawowitych obywateli Berlina stwierdzeniem, że napływ nowych ludzi wywołuje zapotrzebowanie na różne dobra i w ten sposób stworzy nowe miejsca pracy. Rozumowanie to nie przemawia do przekonania miejscowym, którym napływ obcych grozi dalszym utrzymaniem się albo nawet powiększeniem rozmiarów bezrobocia.

W takich dzielnicach jak Kreuzberg czy Neukölln, gdzie bezrobocie i gęstość mieszkaniowa (chodzi o tańsze mieszkania z tzw. budownictwa socjalnego) dają się szczególnie we znaki. Przybycie — rodowitym Niemcy — traktowani są nie jak powracający na łono ojczyzny, ale jako konkurencja do miejsc pracy i tanich mieszkań.

Oczywiście w znacznie większym stopniu odnosi się to do napływających emigrantów innych narodowości. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że Partia Republikańska występująca przeciwko osiedlaniu się, osiągnęła w ostatnich wyborach znaczne sukcesy, świadczące o potęgającej się ksenofobii mieszkańców Berlina Zachodniego.

Rosnące rozgorzenie wśród bywalców urzędów socjalnych, gdy potrzebujący spośród miejscowej ludności stoją po za siłki i kłną na rzekomo uprzywilejowanych Polaków i „poganianych wielbłądów”, (chodzi tu, oczywiście, o Arabów), którzy też korzystają z bońskiej kasy.

Spójrzmy teraz jak wyglądała przewidywana fala imigracyjna w bieżącym — 1989 roku. Najwięcej ludzi przybędzie z krajów Europy Wschodniej: ich liczba wyniesie ma — wg. szacunkowych danych — około 400 tysięcy osób. Oznacza to podwojenie w porównaniu z rokiem ubiegłym. Będą to emigranci ze Związku Radzieckiego, którzy rzeczywiście są pochodzenia niemieckiego i przybywają z Polski, którymi będą w przytaczającej większości rdzenni Polacy, jako że żadna mniejszość niemiecka w Polsce nie istnieje. Emigrantów tej kategorii nazywa się w oficjalnym języku bońskim „wysiedleńcami” (Ausiedler), a przecież jest rzeczą oczywistą, że nikt ich nie wysiedla lecz wyjeżdżają z własnej woli. Nie ulega wątpliwości, że tego rodzaju klasyfikacja i terminologia jest na ręce kołom odwrotnym i rewizjonistycznym.

Następna grupa są tzw. „przesiedleńcy”. Tym mianem określa się obywateli NRD, którzy przyjeżdżają tu w ramach łączenia rodzin. Było ich w roku 1988 około 40 tysięcy (w 1987 — 23 tysiące), zaś w roku bieżącym paść ma no wy rekord w tej dziedzinie.

Wreszcie — tzw. „azyłowicze”. Liczba ubiegających się o azyl przekroczyła w roku ubiegłym 100 tysięcy osób, a w bieżącym będzie niewątpliwie jeszcze większa. Jak pisze prasa niemiecka — opierając się na dotychczasowych trendach — na pierwszym miejscu znajdują się tu Polacy, następnie Jugosłowianie i wreszcie Turcy. Trzeba jednak podkreślić, że obecnie władze niemieckie nie uznają Polaków i Węgrów za azylantów, lecz zezwalają na najwyższą na czasowe ich osiedlenie się. Rząd boński oświadczył bowiem oficjalnie, że absurdalne byłoby uznawanie obywateli Polski i Węgier za azylantów politycznych, podczas gdy w tych krajach istnieje obecnie szeroki zakres swobód demokratycznych.

W roku bieżącym do RFN przyjechać ma około pół miliona imigrantów. Przybywają oni do kraju, w którym panuje zupełnie inny klimat społeczny, aniżeli w roku 1985, kiedy to Republika Federalna Niemiec zawarła z Włochami pierwszy układ dotyczący „Gastarbeiterów”. Jeszcze w 1964 roku, gdy zjawili się tam milionowy z nich, był w tany uroczystości jako symbol wkładu gastarbeiterów do zachodniemieckiej

go „cudu gospodarczego”. Dziś, gdy w Niemczech Zachodnich przebywa 4,5 miliona imigrantów, istnieje również 2,5 miliona bezrobotnych, wśród nich 270 tysięcy poszukujących pracy cudzoziemców i około 100 tysięcy pozostających bez pracy przesiedleńców narodowości niemieckiej, mimo że wg wytycznych rządowych powinni oni być zatrudnieni w pierwszej kolejności.

Krytycy poddają się fakt, że w wyniku takiego napływu cudzoziemców fundusze socjalne przeznaczone dla miejscowych ulegają wciąż ograniczeniu. Budzi to oczywiście zrozumiałą niechęć. Na tym gruncie rodzą się różnego rodzaju dowcipy — np. takie, jakie zaprezentowała gazeta BILD, o najwzrostym w Europie nakładzie: „w roku dwutysięcznym kanclerzem naszym będzie Turek, a my Niemcy będziemy prosili o azyl w Szwajcarii”.

Za demagogiczną należy uznać wypowiedź ministra ds. konstytucji Friedricha Zimmermana, który oświadczył, że Niemcy w okręgach o wysokim procencie cudzoziemców niebawem nie będą mieli nic do powiedzenia.

Jeśli już mowa o konstytucji, to podstawą do wnoszenia podania o pobyt w RFN stanowi artykuł 16 konstytucji bońskiej, który głosi stosowanie prawa azylu. Jednak władze zachodniemieckie coraz częściej — a jeśli chodzi o Polaków i Węgrów to niemal w stu procentach — odrzucają możliwość zapewnienia im statusu uchodźcy politycznego ograniczając się do przyznawania „tolerancji pobytu” czyli tzw. „Duldung”, jak to się nazywa w tamtejszym urzędowym języku.

Szum, jaki podnosi prasa pravicowa wokół przybywców, zatruwa jednak świat domości społeczną i powoduje, że partie, bazujące na podobnych hasłach co Le Pen we Francji, zyskują poparcie pewnej części wyborców.

Oprócz rozgorzenia konkurencja przy otrzymywaniu pracy (znaczną część obywateli praca nielegalna), gniew miejscowych budzi też fakt dużych trudności mieszkaniowych, jakie spowodował napływ imigrantów. Szczególnie w dużych miastach fala przybywców zaostrzyła problem mieszkaniowy.

W Berlinie Zachodnim oświadczone, iż w dzielnicy Schöneberg miejscowy urząd socjalny nie jest w stanie spełnić swej podstawowej funkcji — ochronić potrzebujących przed perspektywą bezdomności. We Frankfurcie nad Menem 35 tysięcy mieszkańców daremnie oczekuje na mieszkania komunalne.

Bynajmniej jednak nie wszędzie — a zwłaszcza obecnie, gdy napływ imigrantów stał się tak gwałtowny — przybywcy mają możliwość otrzymania mieszkania.

Jak pisze hamburski tygodnik DER SPIEGEL — wielu z nich kierowanych jest przede wszystkim do punktów zborowych, które są w gruncie rzeczy obozami złożonymi z baraków. Wiele z nich gnieździ się także w blaszanych kontenerach i starych przyczepach kampingowych. Kontenery są instalowane na różnego rodzaju placach i miejscach niezabudowanych.

Szturm nowoprzybyłych na urzędy socjalne po zasiłki i zapomogi, zwiększa jeszcze rozgorzenie i oburzenie ze strony niemieckiej rodzimej ludności. Związana z podejmowaniem pracy „na czarno” rodzi gniew miejscowych, albowiem powoduje to rosnącą konkurencję na rynku zatrudnienia.

Niechęć ta znajduje coraz częściej wyraz w różnych czynach. Dochodzić miało do napaści na domy zasiedlane przez nowoprzybyłych, podpalania ich mieszkań. Na nienawiść do cudzoziemców bazują także ugrupowania neofaszystowskie, jak NPD i NS, posługujące się wręcz terminologią hitlerowską. W Berlinie Zachodnim na hasłach tych żeruje tzw. partia republikańska. Coraz głośniejsze rozlega się wołanie o zamknięcie granic RFN i Berlina Zachodniego.

MICHAŁ HOROWICZ

Jest sędzią piłkarskim w jednym z lubuskich województw. Trochę się znamy. Może dlatego nie bronił się zbytnio przed rozmową na ten temat. Zaczynam od pytania, co sądzi o głośnym już filmie Janusza Zaorskiego „Piłkarski poker”. Ciekawi mnie, czy sam zetknął się z podobnymi sprawami, jako sędzię. — To i owo się widziało — odpowiada lakonicznie — ale głośno nikt przecież o tym nie powie...

A może jednak?

Dał się w końcu nakłonić do rozmowy, pod warunkiem, że nie ujawnię jego personaliów, a publikacja będzie tak skonstruowana, by zawarte w niej przykłady nie pozwoliły na ustalenie, kim jest, a także, by nie dały powodów do szkanowania innych. Stałby się w środowisku sędziowskim „czarną owcą” i kto wie, jakie nieprzyjemności miałby z tego powodu. Zapewniam, że spełnię jego prośbę. W końcu idzie mi nie o konkretnych ludzi, ale o sprawę...

— Sędzią piłkarskim jestem grubo ponad dwadzieścia lat. Dziś już tylko sporadycznie sędziuję i to jedynie w niższych klasach, ale w najlepszych swych latach byłem — jak na nasz region — dość wysoko, choć jednym z wielu. Zaczęłem jeszcze przed utworzeniem nowych województw. Wtedy sport był znacznie czystszy. Zdawali się „numery” w wykonaniu niektórych sędziów, ale rzadko i to takie, które dzisiaj wywoływałyby tylko uśmiech. Pamiętam na przykład, jak mówiło się, że jeden z arbitrow za bał odpowiednio w czasie meczu o drugą gospodarkę a miejscowi naprawili mu motocykl, którym jeździł na mecz. Teraz to zabawne, ale w latach sześćdziesiątych kto miał motocykl, nie

Czy dałem się skusić? Myślę, że nie ma chyba sędziów, w najniższej nawet klasie, który mógłby ze spokojnym sumieniem powiedzieć, iż ma czyste ręce. Przynajmniej ja bym takiemu nie uwierył. A zaczyna się to bardzo niewinnie, potem już jakoś samo leci. Nie inaczej było i ze mną.

Mówi się, że pierwszy raz jest najbardziej pamiętny. Pojechałem na mecz, który decydował o awansie do klasy A jednej z grających w nim drużyn. Miałem do chwili przyjazdu być dla mnie i moich kolegów bardzo uprzejmi i gościnni. Zresztą jechałem tam wiedząc od innych sędziów, że w klubie X. są bardzo serdeczni ludzie. Ta ich serdeczność tak mi się udzieliła, że na boisku — sam nie wiem dlaczego — większą, choć dyskretną sympatią darzyłem gospodarzy. Przyjeździłem tam wiedząc o awansie i z powodzeniem mogli wygrać i awansować. Posterowałem jednak delikatnie wydarzeniami na boisku i zwyciężyli gospodarze. Pamiętam, że już wtedy byłem zaskoczony, jak łatwo to „drukowanie” mi przyszło. Tiliły się jeszcze we mnie jakieś ludzkie odruchy, tym bardziej więc przynębiał fakt, że goście przyjęli porażkę z wyjątkowym spokojem i godnością.

KTO ROZBIJE BANK W PIŁKARSKIM POKERZE?

Krzysztof Holyński

musiał tulać się po dworcach całą niedzielę, by dojechać do jakiejś wsi czy miasteczka, a potem wrócić do domu.

Był też taki sędzia, o którym mówiono, że lubi wypić, co nie przeszkadzało mu prowadzić następnie meczu. Wtedy jeszcze nie praktykowano tego, co zdarza się obecnie, że kiedy sędzia krok ma nie taki, to wzywa się milicjantów z balonikiem. Kiedyś to było nie do pomyślenia. Nie mówiąc już o tym, że kto się naraził jednemu arbitrowi, musiał się liczyć z odpowiednim potraktowaniem przez kolegę, który przyjeżdżał na następny mecz. No i ten, który lubił lyknać, po obiedzie ufundowanym przez gospodarzy w miejscowej restauracji, jakby osłabł. Na boisku był niezwykle pobłażliwy dla... gości, a co chwile karał gospodarzy. Fundatorzy już zaczęli psiożyć, że tyle postawili, a ten taki uczciwy i nieprzekupny. W przerwie, mimo wszystko, zaniesli do szatni herbatkę i dopiero wtedy okazało się, że sędzia pomylił drużyny, a będąc na lekkiem cyku nie zauważył nawet dyskretnych gestów liniowego. W drugiej połowie spokojnie naprawił błąd i z wyniku bodaj 0:2 zrobiło się 4:3 dla miejscowych.

Były to małe sprawy, bo i małe stawki obowiązywały wówczas w tym piłkarskim pokerze, choć w gruncie rzeczy efekt był ten sam, co obecnie: wypaczenie wyniku meczu. Ponadto zdarzało się to raczej rzadko, a zdecydowana większość to byli uczciwi ludzie, którzy natychmiast przerywali jakiegokolwiek próby podchodów. Sędziowaniem zajmowali się po prostu zapaleńcy, hobyści, którzy z tego nie mieli, poza satysfakcją.

Czy jest tak i dzisiaj? Może nie mam prawa rozsądzać, ale myślę, że — niestety — nie. Byłbym chyba pierwszym naiwnym, jeśli powiedziałbym inaczej.

Na początku swej kariery sędziowskiej szybko awansowałem. Jak niemal każdy z arbitrow. Wcześniej kopałem trochę piłkę w swoim miasteczku, choć piłkarzem byłem raczej przeciętnym. Trochę meczów w okręgówce i klasie A, parę goli. Nic nadzwyczajnego. Zaraz po ukończeniu szkoły zapisałem się na kurs. Poszło dobrze. Niedługo, jak na ówczesne warunki, biegałem jako sędzia liniowy, a potem jako główny na boiskach klasy D, C, i B. Wziął mnie do swojej trójki jeden z lepszych sędziów. Wtedy poznałem smak sędziowania, chociaż tylko na linii, w lidze okręgowej, która w tamtych czasach stała na znacznie wyższym poziomie niż obecnie. Myślę, że nie był to gorszy poziom niż dziś w III lidze, której wtedy nie było. W okręgówce grały naprawdę dobre drużyny. Do dziś pamiętam z tych zespołów piłkarzy, którzy imponowali swą grą. Polowczyk i Walkowiak z Zastalu, Wilczak i Prządka ze Stilonu, Kwiatek i Downer z Promienia Zary, Mazur ze Sprotawii, Babiracki z Chrobrego Głogów, Kassian i Świętek z Warty Górzów, Nowak i Lisikiewicz z Obry Babimost, Konsek i Bratkowski z Orła Miedzyrzecz, brała Zychowie z Olimpii Świebodzin, Warsz z Wiarusa Krosno, Ball z Polonii Nowa Sól, Rekus z Kaszyski z Piasta Sulechów, Kosmowski z Lubuszanki Zielona Góra, nie mówiąc już o plejadzie piłkarzy Czarnych Zagai z Kuczek i Chabickim na czele. Wiele ciekawych zawodników grało też w klasie A, jak Milanowski w Celulozie Kostrzyn, Skrzczkowski w Lubuszanie Drezdenko, Wysocki w Syrenie Zbąszynek, Świniares w Piastie Czerwinski.

Długo by wymieniał, a miałem przecież mówić o sędziowaniu.

Jeszcze chyba piłkarze nie opuścili stadionu, gdy nas, sędziów, poproszono do budynku biurowego przedsiębiorstwa, które opiekowało się miejscowym klubem. W sali bankietowej wszystko przygotowane było do przyjęcia na kilkanaście osób. Byli tam przedstawiciele kierownictwa zakładu i działacze. Chyba

Zrozumiałem wtedy, co miał na myśli gospodarz bankietu, gdy po którejś wódce powiedział, że nie jestem wcale gorszy, niż Ygrekowski, a on właśnie, stary rutyniarz, miał pierwotnie sędziować. Wtedy pojąłem, dlaczego mówił o nim — sędzia do specjalnych zadań. Nie zdziwiłem się zatem zbytnio, gdy przy jakiejś okazji pogratulował mi prowadzenie tego meczu sam wiceprezes OZPN.

— Spisał się pan na piątkę — powiedział. — Widzę, że można na pana liczyć. Myślę, że i jemu odpowiednio podziękowano. Paradoks polegał na tym, że ja się gryzłem, miałem wyrzuty sumienia, a moje piłkarskie władze były ze mnie zadowolone, co zaowocowało szybkimi awansami i dość mocną pozycją w tym świecie.

Ta przewrotność losu powoli wyleczyła mnie ze skrupułów i nauczyła zupełnie innego myślenia. Odtąd zwracałem uwagę na rzeczy, które kiedyś nie miały dla mnie znaczenia. Musiałem się orientować, które kluby są hołubione przez członków zarządu, kto komu podlega, kto komu coś załatwił, kogo spośród władzy obawiają się prezesi w dziełach innych pozornych drobiazgach. Wielokrotnie przekonałem się później, że nawet sędzia z piątkami z teorii i praktyki, nie ma szans, na przebiecie się, jeśli — jak to się wtedy mówiło — nie kuma cza-czy. O wiele większą karierę, nawet w okręgu, który do potęg piłkarskich nie zaliczał się, mógł zrobić, i zwykle robił sędzia mierny, ale wierny, taki co to wiedział, z kim trzy-

mać. Nie mówiąc już o zdolnych arbitrach, a także podatnych na tę pozaboiskową wiedzę.

Dawanie i branie pieniędzy zaczęło się trochę później, w bliższych nam czasach. Kto ucziwy, ten nie brał i nie bierze. Są jednak tacy, którzy brali lub biorą. Nic nie poradzę, że brzmi to bru-



Rys. LESZEK HERMANOWICZ

dla zagłuszenia głosów sumienia, prezesa-dyrektora, który pierwszy zabrał głos, sprytnie powiedział, że to spotkanie przygotowano z okazji awansu, a nie — brzo — żeby ugościć sędziów. No, a skoro tak, to można się napić. Gdy bankiet rozkręcił się na dobre, zaproszono nas do gabinetu dyrektora. Tam znów po koniaczku i małe — jak powiedział — pamiętki. Zakład ten produkował bardzo atrakcyjne rzeczy, toteż szybko zorientowałem się, że prezenty były bardzo drogie. Po paru godzinach odwieziono nas na dworzec w pobliskim, powiatowym miście z owymi prezentami i niezłą walówką na drogę.

Dziś mówię o tym spokojnie, ale wtedy przez trzy noce nie mogłem zasnąć. Kiedy zwierzyłem się w tajemnicy ze swych problemów koleżce, też sędziemu, ten ze śmiechem odrzekł: to przecież normalne! I pomyśleć, że mecz ten prowadził zupełnie przypadkowo, w ostatniej chwili oddelegowany w miejsce innego arbitra, któremu coś wypadło.

talnie. Nikt nie przekonał mnie, że mówię nieprawdę. Tak, jak nigdy dotąd nie zdarzyło się, żeby — mimo podejrzeń — udowodniono komuś, że wziął...

Po tych „skromnych” latach nadeszły naprawdę ciekawe czasy. Sędziowałem wówczas nawet w III lidze, co zresztą było kresem moich awansów. W okresie propagandy sukcesu, wiele miast i miasteczek miało ambicję posiadania drużyny piłkarskiej bodaj w III lidze. Chęci miejscowych władz i działaczy często jednak przerażały umiejętności piłkarzy. O punkty nie było łatwo. Ale jest parę sposobów ich zdobywania. Także z pomocą sędziów, z tym tylko, że przychylności czasami kosztuje. Stawki systematycznie rosły. To już przestała być zabawa z lat sześćdziesiątych, kiedy sędzia zycielowym okiem patrzył na drużynę gospodarzy za pół litra i pięto swojskiej kiełbasy. W tym pokerze pule stawały się już naprawdę duże...

C.D.N.

DZIECI KOSMOSU

Prezentując znaki Zodiaku, wyprzedziliśmy o dwa tygodnie znak Raka. W związku z tym kolejny odcinek „Dzieci Kosmosu” dotyczący panów spod tego znaku, zamieścimy w następnym numerze.

Red.

21.VI — ŚRODA

PROGRAM I

- 8.35, 10.30 „Domator” — film fabularny produkcji ZSRR
 9.25 „Spotkamy się w metrze” (1) — film fabularny produkcji ZSRR
 14.40 NURT — Problemy zdrowia współczesnego człowieka
 16.15 Losowanie Express i Super Lotka oraz Zakładów Specjalnych
 16.25 „Scena TDC” — „Stonoga”
 16.50 Dla dzieci: „Wyprawy prof. Ciekawskiego”
 17.30, 19.10, 21.50 „Lex” — Magazyn społeczno-prawny
 17.35 „Spojrzenia”
 18.05 Telewizyjny informator wydawniczy „Dawniej niż wczoraj” — „Archiwum XX wieku”
 18.50 „10 minut”
 19.00 Dobranoc: „Proszę słońca”
 20.05 „Alabama” — dramat psychologiczny prod. pol. reż. K. Rydzewski
 21.35 Kroniki PAT — Tak było...
 22.00 „Raport”

PROGRAM II

- 16.55 Studio Sport: Piłka nożna w przerwie meczu
 17.45 Program lokalny
 19.00 Studio Festiwalowe — Opole '89
 19.30 „Requiem” Giuseppe Verdiego — dyryguje Krzysztof Penderecki. Transmisja koncertu z kościoła św. Piotra i Pawła w Katowicach, wyk.: WOSPRIT w Katowicach, chór Filharmonii Narodowej i soliści
 21.10 Magazyn reporterów programu II
 21.45 „W labiryncie” (25) — serial TP
 22.15 „Telewizja noc”
 23.30 Komentarz dnia

22.VI — CZWARTEK

PROGRAM I

- 8.35, 10.45 „Domator” — „Nasza poczta i nauka gry w bryla”
 8.50 „Domowe przedszkole”
 9.25 „Smierć utalentowanego szewca” — film fabularny produkcji CSRS, reż. Jan Schmidt. Wyk.: Jiri Kodet, Antonin Hardt
 16.05 „Polskie zdroje” — Iwoniec Zdrój
 16.25 Dla młodych widzów: „Kwant”
 17.30 Wojskowy program historyczny
 17.55 „Być reporterem” — Krzysztof Wójcik
 18.20 „Sonda”
 18.50 „10 minut”
 19.00 Dobranoc: „Cypisek, syn rozbójnika Rumcajsa”
 19.10 „Teraz” — Tygodnik gospodarczy
 20.00 „XXVI Krajowy Festiwal Polskiej Piosenki — Opole '89” — Debiuty
 21.10 Kroniki PAT — Tak było...
 21.25 „Czas” — magazyn publicystyczny
 21.55 „Pegaz”

PROGRAM II

- 17.30 „Do szkoły pod górą”
 18.00 Program lokalny
 18.30 Festiwal Muzyki — Łańcut '89 — „Bisy Katii Ricciarelli” — program z udziałem Pipo Baudo
 19.30 „Puls” — „Warto zapamiętać” — film medyczny
 20.00 „Defekty” — film fab. prod. węgier.
 21.05 „Ekspres reporterów”
 21.45 Studio Teatralne „Dwójki” — Egon Erwin Kisch „Wniebowzięcie Szubienicznej Toni” — reż. Laco Adamik
 22.40 Komentarz dnia

23.VI — PIĄTEK

- 8.35 „Domator” — Kuchnie świata
 8.50 „Domowe przedszkole”
 9.25 Dt — Dodatek gospodarczy
 9.40 „Dempsey i Makepeace na tropie” — angielski serial kryminalny
 15.35 NURT — Młodzież współczesna
 16.05 Dt — Wiadomości
 16.10 „Radar” — „Kolobrzeg zaprasza” — rozstrzygnięcie plebiscytu
 16.25 Dla młodych widzów: „Adres Polska” (2) — Dziesięć wypraw do naj — film dokumentalny
 16.50 Dla dzieci: Okienko Pankracego — mag. polonijny
 17.30 „Z Polski rodem” — mag. polonijny
 17.50 Program publicystyczny
 18.15 „Tryptyk z ziemi obiecanej — słów kilka o łódzkiej secesji” — film dok.
 18.50 „10 minut”
 19.00 Dobranoc: „Przygody Gapulki”
 19.10 „Monitor rządowy”
 20.05 „Dempsey i Makepeace na tropie” — „Powłazanie Corteza” — ang. s. krym.
 21.00 „XXVI Krajowy Festiwal Polskiej Piosenki — Opole '89” — Gwiazdy i piosenki
 23.00 Kroniki PAT — Tak było...
 23.35 Sztuka formatu niewielkiego — film dok. produkcji polskiej
 24.00 „XXVI Krajowy Festiwal Polskiej Piosenki — Opole '89” — Cicha woda (transmisja)

PROGRAM II

- 17.30 „Wzroczkowa lista przebojów Marka Niedzwieckiego”
 18.00 Program lokalny
 18.30 Magazyn 102” i Studio Festiwalowe — Opole '89
 19.00 Program publicystyczny
 19.30 „Dookoła świata” — „Na Filipinach”
 20.00 „Piątek” — Krakowski przekładaniec kulturalny
 21.45 Filmy z Humphreym Bogartem — „Prawo bezprawie” — reż. William Keighley
 23.05 Komentarz dnia

24.VI — SOBOTA

PROGRAM I

- 8.00 Tydzień na działce
 8.20 Na zdrowie — program rekreacyjny
 9.00 „Drops” — mag. dla dzieci i młodzieży oraz film z serii „Fraggles” (42)
 10.40 Stare, nowe, najnowsze

25.VI — NIEDZIELA

- 11.05 „Śladami Odyseusza” (1) — „Wojna trojańska — Odjazd” — film dok. produkcji francuskiej
 11.45 Zdrowie — wojskowy mag. publ.
 12.15 „Wyprawa pod podszewkę Alp” (3) — „Ołbrzymy i cuda Krasu” — film dokumentalny
 12.50 „Flesz” — magazyn
 13.15 TV Teatr Prozy: Robert Louis Stevenson — „Dr. Jekyll i Mr. Hyde”, reż. Jerzy Antczak. Wyk.: I. Machowski, M. Voit, R. Hanin
 14.40 „Do trzech razy sztuka” — pr. z udz. E. Bem, W. Manna, K. Materny i A. Zaorskiego
 15.10 Komedia, komedie, komedie — „Halo Szpicbrodka, czyli ostatni występ króla kasiarzy” — komedia muz. prod. pol. reż. J. Rzeszewski. Wyk. P. Fronczewski, E. Wrzesińska, G. Kownacka
 16.45 Losowanie Dużego Lotka
 16.55 Studio Sport: Finał Pucharu Polski w piłce nożnej — Legia Warszawa — Jagiellonia Białystok
 19.00 Dobranoc: „Podróże kpt. Klipera”
 19.10 Z kamerą wśród zwierząt
 20.00 „Dekalog, dziesięć” — film fab. prod. pol. reż. K. Kieślowski. Wyk.: J. Stuh, R. Zamachowski
 21.00 „XXVI Krajowy Festiwal Polskiej Piosenki — Opole '89” — Premiery
 22.30 Święto „Trybuny Ludu”
 22.40 Telewizyjny przegląd sportowy
 22.50 „XXVI Krajowy Festiwal Polskiej Piosenki — Opole '89” — Premie i premiery

dwa tygodnie z TV

21 CZERWCA — 4 LIPCA 1989 R.

Codziennie: 17.15 — Teleexpress, 9.15, 19.30 — Dziennik (pr. I), 21.30 Panorama dnia (pr. II)

PROGRAM II

- 11.00 Trzy godziny z TV Katowice
 14.00 W świecie ciszy
 14.25 Telewizyjny koncert życzeń
 15.00 „Tajniki przyrody” (9) — „Zagłada jest nieodwracalna” — s. prod. ang.
 15.25 Spektrum
 15.40 Zwierzęta świata — „Woda, albo śmierć” — film przyrodniczy USA
 16.05 Meandry architektury — „Projektowanie zieleni”
 16.25 „Ordy” — „Wulkany” — film anim. produkcji japońskiej
 16.50 „Najdłuższa wojna nowoczesnej Europy” (8) — s. produkcji TP
 18.00 Program lokalny
 18.30 Benefis Romana Kłosowskiego
 19.30 Alfa i omega
 20.00 „Tancerz” — film balet. prod. ang.
 20.50 Jacek Mierzejewski w Muzeum Narodowym
 21.45 „Chateaufallon” (7) — s. prod. franc.
 22.40 Komentarz dnia

25.VI — NIEDZIELA

- 7.20 Wszelchnia rodziny wiejskiej
 7.45 Po gospodarstwu — magazyn
 8.15 Tydzień
 9.00 Tolerancja oraz film prod. NRD
 10.35 „Życie na planecie Ziemia” (3) — „Smierć drzewa” — serial przyrodniczy produkcji francuskiej
 11.25 Kraj za miastem
 11.55 Telewizyjny koncert życzeń
 12.40 Agromarket
 13.25 Teatr dla Dzieci: „Otfried Preussler „Malutka czarownica”, reż. Irena Dragan. Wyk. Aktezy Teatru Lalek „Kubus”
 14.10 „Morze” — magazyn
 14.30 Święto „Trybuny Ludu”
 14.50 „Trzy rundy”
 15.35 „Katarzyna” (13) — s. prod. franc.
 17.30 „Gdzie są taśmy z tamtych lat”
 18.10 Antena
 18.30 „Panna dziedziczka” (6) — s. obycz. produkcji brazylijskiej
 19.00 Wieczorynka: „Tajemnica Wikłowej Zatok”
 20.00 „Ucieczka z miejsc ukochanych” (6) — serial TP
 21.00 „XXVI Krajowy Festiwal Polskiej Piosenki — Opole '89”. Mikrofon i ekran cz. I
 22.35 „7 dni — świat”
 22.50 „XXVI Krajowy Festiwal Polskiej Piosenki — Opole '89”. Mikrofon i ekran (2)

PROGRAM II

- 9.15 Przegląd tygodnia (dla niesłyszących)
 9.50 Film dla niesłyszących: „Ucieczka z miejsc ukochanych” (6) — serial TP
 10.50 Lokalny koncert życzeń
 11.45 Jutro poniedziałek
 12.20 Polska Kronika Filmowa
 12.30 Kino rodzinne „Powrót na Wyspę Skarbow” (10) — „Wyspa Skarbow” — ost. odc. s. prod. angielskiej
 13.20 100 pytań do...
 14.00 „Polacy” — film dokumentalny
 14.30 „Podróże w czasie i przestrzeni: „Który jesteś roznik? — My dumni Węgrzy” — węg. film dok.
 15.40 Muzyka francuska w Warszawskich Łazienkach
 16.40 Być tutaj — gawęda prof. W. Zina
 17.00 Studio Sport: Wyścigi konne na Służewcu nagrody Prezesa Rady Ministrów i Staliny Konf. Rzecznika
 17.30 „Blizy światła” — przegląd TV-sat.
 19.00 Wywiady Ireny Dziedzic
 19.30 „Galeria Dwójki”: Stasys Eidigrevicius (grafiki)
 20.00 Studio Sport
 21.00 „Nowa” — spotkanie z Grzegorzem Bogutą
 21.45 „Wichry wojny” (15) — s. prod. USA
 22.35 Święto „Trybuny Ludu”
 22.50 Komentarz dnia
 22.55 Dobranoc tylko dla dorosłych

26.VI — PONIEDZIAŁEK

PROGRAM I

- 16.40 NURT — Szkoła przyszłości w eksperymentach zagranicznych. Studiować w Ameryce (2)
 17.30 „Luz” — program nastolatków
 18.00 Echa stadionów
 18.50 Święto „Trybuny Ludu”
 19.00 Dobranoc: „Pietruszka opowiada bajki”
 19.10 „Gorące linie”
 20.05 Teatr Telewizji: August Strindberg „Taniec śmierci”. Reż. Wojciech Szulczyński
 22.05 Kroniki PAT — Tak było...
 22.20 Sprawa dla reportera

PROGRAM II

- 18.00 Program lokalny
 18.30 Przegląd PKF
 19.00 Ojczyzna-polszczyzna
 19.15 Antena „Dwójki”
 19.30 Mazurki i polonezy gra Adam Hałasiewicz
 20.00 Teletrans
 20.30 „Uwaga, dokument”
 21.15 Rozmowy o cierpieniu
 21.45 Po festiwalu w Opolu — reportaż
 22.05 Biografie: „Bacall o Bogarcie” — film dok. prod. USA
 23.30 Komentarz dnia

27.VI — WTOREK

PROGRAM I

- 8.50 Domator — Ostrzegamy
 9.00 Teleferie: „Wakacje z Neptunem”
 9.25 Kino Teleferii: „Dziewczyna pirat” (2) — s. prod. NRD
 10.10 DT — Dodatek gospodarczy
 10.25 „Synowie i córki Jakuba Szklarza” (13) — s. prod. CSRS
 17.30 „Kontrakt stulecia” (2) — serial prod. ZSRR
 18.30 „Klinika zdrowego człowieka”
 18.50 „10 minut”
 19.00 Dobranoc: „Przygody Bączka i Paczka”
 19.00 „Od A do Z” — program publicystyczny
 20.05 „Synowie i córki Jakuba Szklarza” (13-ostatni) — serial prod. CSRS
 21.15 Kroniki PAT — Tak było...
 21.30 Konferencja prasowa rzecznika rządu
 21.45 Studio „Solidarność”
 22.30 DT — Echa dnia

PROGRAM II

- 18.00 Program lokalny
 18.30 „Szokujące nowości — U progu sztuki współczesnej” — ostatni odc. serialu dok. prod. ang.
 19.00 „Wojna domowa” (7) — „Polski joga” — serial TP
 19.30 „Blisko nieba” — mag. alpinistyczny
 20.00 Za chwilę dalszy ciąg programu
 21.00 „Klub ludzi z przeszłością”
 21.45 „Hrabina Cosel” (4-ost.) — odcinek serialu prod. NRD
 22.35 Komentarz dnia

28.VI — ŚRODA

PROGRAM I

- 8.50 Domator — Ostrzegamy — zatrucia
 9.00 Teleferie najmłodszych — „Zgadynki na ekranie”
 9.30 Kino Teleferii: „Piaskowy stworek”
 10.10 „Spotkamy się w metrze” (2) — film prod. ZSRR
 15.55 NURT — Problemy zdrowia współczesnego człowieka
 16.30 Losowanie Express i Super Lotka
 16.40 Telewizyjny Informator Wydawniczy
 17.00 Studio Sport: Mecz piłki nożnej ZSRR — reszta świata
 18.50 „10 minut”
 19.00 Dobranoc: „Proszę słońca”
 19.10 Program publicystyczny
 20.05 „Sekcja specjalna” — film fab. prod. francuskiej
 22.25 Kroniki PAT — Tak było...
 22.40 „Spojrzenia” — mag. o państwach socjalistycznych

PROGRAM II

- 17.30 „W wędkarskim klubie”
 18.00 Program lokalny
 18.30 „Magazyn 102”
 19.00 „Świat festynów”
 19.30 Program publicystyki kulturalnej
 20.00 XXVIII Festiwal Moniuszkowski w Kudowie Zdroju — „Goście zagraniczni”
 21.00 „Ze wszystkich stron” — magazyn
 21.55 „W labiryncie” (26) — serial TP
 22.20 „997 — Kronika kryminalna”
 23.20 Komentarz dnia

29.VI — CZWARTEK

PROGRAM I

- 8.50 Domator — Ostrzegamy — Utonięcia
 9.00 Kino Teleferii: „Vasco da Gama ze wsi Rupca” (1) — serial prod. buig.
 10.10 „Dempsey i Makepeace na tropie” (ostatni) — „Nieuchwytny zabójca” — serial produkcji angielskiej

30.VI — PIĄTEK

PROGRAM I

- 8.50 Domator — Ostrzegamy — dziecko na wsi
 9.00 Teleferie na zielono
 9.30 Kino Teleferii: „Arabella” — serial produkcji CSRS
 10.10 DT — Dodatek gospodarczy
 10.25 Film fabularny
 15.10 NURT — Aktualne problemy oświaty
 15.40 Domator — Przed weekendem
 16.45 Intersygnal
 17.30 Film dokumentalny
 18.10 „Skarbiec” — magazyn historyczny
 18.50 „10 minut”
 19.00 Dobranoc: „Przygody Gapulki”
 19.10 „Monitor rządowy”
 20.05 Kino Muzyczne Kydryńskiego: „Kum pel Joey” — film prod. USA, reż. George Sidney. Wyk.: Rita Hayworth, Frank Sinatra, Kim Novak
 22.00 Kroniki PAT — Tak było...
 22.15 „Spór o jutro — Otwarte Studio” (1)
 23.15 DT — Echa dnia
 23.35 „Spór o jutro — Otwarte Studio” (2)

PROGRAM II

- 18.00 Program lokalny
 18.30 Wzroczkowa lista przebojów Marka Niedzwieckiego
 19.00 Lato w „Dwójce”
 19.30 „Dookoła świata”
 20.00 „Święto słowa — Swidnica '89”
 20.50 Bravo — dla Zygmunta Latoszewskiego
 22.00 Film z Humphreym Bogartem „Kid Galahad”, reż. Michael Curtiz. Wyk.: Edward G. Robinson, Bette Davis
 23.40 Komentarz dnia

1.VII — SOBOTA

PROGRAM I

- 8.00 Tydzień na działce
 8.20 Na zdrowie — program rekreacyjny
 9.00 Kino Teleferii: „Fraggles” (43) — serial prod. angielskiej
 10.40 Stare, nowe, najnowsze
 11.20 „Azymut” — wojskowy mag. publ.
 11.50 Telewizyjny koncert życzeń
 12.20 „Śladami Odyseusza” — „Burza”, „Kraj Lotofagów” — film dok. prod. francuskiej
 13.00 TV Teatr Prozy: Raymond Chandler — „Młody Chandler”, reż. Tomasz Zygadło. Wyk.: P. Fronczewski, Krystyna Janda, Marcin Troński i inni
 15.05 „Pałace polskie” — Dobczyca
 15.35 Komedia, komedie, komedie: „Mąż swojej żony”, reż. S. Bareja. Wyk.: Aleksandra Zawieruska, B. Pawlik
 17.05 Losowanie Dużego Lotka
 17.30 Prezydenci
 18.00 Premie i premiery — rec. Olgi Kormuchy
 18.30 „Butik” — pr. G. Sześciński
 19.00 Dobranoc: „Przygód kilka wróbla Cwirka”
 19.10 „Z kamerą wśród zwierząt”
 20.05 Sobotni seans filmowy: „Powrót rewolwerowca” — western prod. USA, reż. James Neilson. Wyk.: Robert Taylor, Chad Everett, Ana Martin
 21.40 „Kity western and company” — film dokumentalny
 22.20 Tydzień w polityce
 22.30 Telewizyjny przegląd sportowy
 22.50 Telegazeta
 23.00 Kino Sensacji: „Coma” — film fab. prod. USA, reż. Michael Crichton. Wyk.: Genevieve Bujold, Michael Douglas

PROGRAM II

- 15.00 Bariery
 15.30 Małe Kino: „Józef Chelmoński” — film dokumentalny
 16.05 5-10-15 — pr. dla dzieci i młodzieży
 16.50 „Najdłuższa wojna nowoczesnej Europy” (9) — „Austrotten” — s. TP
 18.00 Program lokalny

2.VII — NIEDZIELA

PROGRAM I

- 6.50 i 7.10 TTR
 7.30 Po gospodarsku — magazyn
 8.00 Tydzień
 8.45 Kino Teleferii: „Wódz Seminólów” — film prod. NRD
 10.35 „Życie na planecie Ziemia” (4) — „Dach Alp” — serial dok. prod. franc.
 11.25 „Kraj za miastem”
 11.55 Telewizyjny koncert życzeń
 12.40 „Opole '89” — Krajowa scena młodzieżowa
 13.45 Laureaci '89 „Foki z Zatoki Admirałki” — film dok.
 14.15 Marek Sierocki zaprasza
 14.30 Fotomagazyn „Powiększenie”
 14.50 Pieprz i wanilia — „Nieznany kraj” — „Czarna spuścizna”
 15.35 „Katarzyna” (14) — serial produkcji francuskiej
 17.30 „Gdzie są taśmy z tamtych lat”
 18.10 Antena
 18.30 „Panna dziedziczka” (7) — serial produkcji brazylijskiej
 19.00 Wieczorynka: „Tajemnica Wikłowej Zatok”
 20.05 „Ucieczka z miejsc ukochanych” (7) — serial TP
 21.05 „7 dni — świat”
 21.35 Sportowa niedziela
 22.05 Kinomania
 22.35 Premiery po latach „Wszystko jest poezją” — film dok.
 23.50 „Telegazeta”

PROGRAM II

- 9.00 Przegląd tygodnia (dla niesłyszących)
 9.35 Film dla niesłyszących: „Ucieczka z miejsc ukochanych” (7) — serial TP
 12.55 Magazyn lotniczy
 13.25 Jutro poniedziałek
 14.00 Polska Kronika Filmowa
 14.10 100 pytań do...
 14.50 Aktualności kulturalne
 15.05 „Polacy” — film dokumentalny
 16.10 Program filmowy
 17.00 Lato w „Dwójce”
 17.30 „Blizy światła” — przegląd TV-sat.
 19.00 Goście Daniela Passenta
 19.30 Program publicystyki kulturalnej
 20.00 Studio Sport
 21.00 Program publicystyczny
 21.45 „Wichry wojny” (16) — s. prod. USA
 22.35 Komentarz dnia

3.VII — PONIEDZIAŁEK

PROGRAM I

- 17.30 „Czterdziestolatek” (1) — „Toast, czyli bliżej niż dalej” — serial TP
 18.25 „Magazyn żeglarski”
 18.50 „10 minut”
 19.00 Dobranoc: „O czym mówi świerszcz”
 19.10 „Gorące linie”
 20.05 Spektakl na bis: Jarosław Abramow-Newerly — „Maestro”. Reż. Marek Nowicki
 22.00 Kroniki PAT — Tak było...
 22.15 Gwiazdy Jazzu — Michel Petrucci
 23.00 Komentarz dnia

PROGRAM II

- 18.00 Program lokalny
 18.30 Przegląd PKF
 19.00 Ojczyzna — polszczyzna
 19.15 Antena Dwójki na najbliższy tydzień
 19.30 „Życie muzyczne”
 20.00 „Teletrans”
 20.30 Osadźmy sami
 21.15 „Zamyślenia” — pr. H. Wasilewskiej
 22.00 Biografie: „Kino Carla Dreyera”, cz. I — film dokumentalny produk. cz. i duńsko-ang.-RFN
 23.00 Komentarz dnia

4.VII — WTOREK

PROGRAM I

- 8.50 Domator — Okno z pomysłem
 9.00 Wakacje z Ikarem
 9.30 Kino Teleferii: „Dziewczyna pirat” (3) serial produkcji NRD
 10.10 DT — Dodatek gospodarczy
 10.25 Film fabularny
 17.30 „Czterdziestolatek” (2) „Walka z nabożem, czyli labirynt” — s. TP
 18.20 „Być reporterem” — O Jerzym Lewczyńskim
 18.50 „10 minut”
 19.00 Dobranoc: „Przygody Bączka i Paczka”
 19.10 „Stop” — Telewizyjny Klub Konsumentów
 20.05 „Książniczka Daisy”, cz. I — melodramat produkcji USA
 21.35 Kroniki PAT — Tak było...
 21.45 Konferencja prasowa rzecznika rządu
 22.00 Zawsze po 21-szej

PROGRAM II

- 18.00 Program lokalny
 18.30 „Wojna domowa” — (3) „Wizyta starzej pahi” — serial TP
 19.30 „Blisko nieba” — mag. alpinistyczny
 20.00 Non stop kolor „David Bowie — szklany pajak” — film prod. USA-australijsko-angielskiej
 21.00 Studio Sport
 21.45 Studio „Solidarność”
 23.30 „Jak po masie” — film obycz. prod. francuskiej
 1.05 Komentarz dnia

● Redakcja nie odpowiada za zmiany dokonywane przez TVP w ostatniej chwili

nadodrze

DWUTYGDNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY — Pismo Lubuskiego Towarzystwa Kultury

Adres redakcji: Zielona Góra, pl. Bohaterów Stalingradu 13 I piętro oraz dla korespondencji: 65-958 Zielona Góra 3 skrytka pocztowa 40. Telefon: redakcji: naczelnicy 708-35 z-ca red. naczelnego 709-13 oraz centrala 46-61 do 67 (dla telefonów wewnętrznych) Telex 0432253 REDAGUEJO KOLEGIUM: Halina Adaska-Skarbek, Janusz Konusz (red. naczelnicy) Zenon Łukasiewicz (z-ca red. naczelnego) Krzysztof Hołystki, Wiesław No-

dzynski, Ryszard Rowiński oraz Leszek Hermanowicz (red. graf.-tech.) Korekta Beata Bartosiewicz, Sekretariat redakcji Elżbieta Waleńska WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch” Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe al. Niepodległości 35 55-642 Zielona Góra skrytka pocztowa 31 Centrala telefoniczna: 46-61 do 67 Dyrektor naczelny: Zbigniew Pietkiewicz, tel. 717-85 DRUK: Drukarnia Prasowa ZWP 65-076 Zielona Góra ul. Reja

● OGŁOSZENIA przyjmuje Biuro Reklam. Ogłoszeń Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Materiały (tekstów i zdjęć) nie zamówionych redakcja nie zwraca. W przypadku wykorzystania nie zamówionych materiałów redakcja zastrzeże sobie prawo skrótu i zmian tytułów. K-20

Od lat mówi się o potrzebie zawodowstwa w naszym sporcie. Mówić łatwo, wprowadzić trudniej. Idzie wszak nie tylko o oficjalne płacenie sportowcom, ale o profesjonalne podejście do sportu. Organizacja sportowego wyczynu przypomina u nas bardziej radną improwizację, niż przemyślane, systemowe działania. A efekty tego spotykamy na każdym stadionie.

Po stokroć ma rację red. Wojciech Mittelstaedt z „Trybuny Ludu”, który pisze, iż przeżył się już hasła w rodzaju: „Od sportu masowego do wyczynu” itp. Należy wreszcie sprawy te wyrazić odrębnie. Dziś sport wyczynowy to rzecz dla profesjonalistów, czyli ludzi poświęcających sportowi wszystko, a rekreacja — to zabawa dla hobbystów. Idzie tylko o to, żeby prawidłowo rozwijać obie te dziedziny kultury fizycznej. Niech właściwie szkoleni wyczynowcy biją rekordy i podbijają świat za godziwe wynagrodzenie, a sport masowym zajmują się dla przyjemności i zdrowia (a statystyki o stanie zdrowotnym społeczeństwa są zatrważające...) jak najszerze kręgi ludzi — od przedszkolaków po starszaków.

Wiem, że brzmi to, jak pobożne życzenie. Ale do takiego modelu, w którym będzie jak najmniej niedomówień, trzeba jednak zmierzać. Dalsza improwizacja i powielanie nic nie znaczących już dziś haseł, będzie tylko nadal pogryzać nasz sport w apatii. Przykładów na to jest aż nadto.

Jak echo powraca kompromitujący występ piłkarzy na Wembley. Mecz z Anglią jaskrawo udowodnił, że piłka nożna od lat nie zajmowali się u nas fachowcy. Jak anegdota można potraktować teraz wypowiedź Jana Tomaszewskiego, który „powstrzymał Anglię” na Wembley w 1973 roku. Dwa dni przed niesławnym meczem Tomaszewski powiedział: „3:0 dla Anglii — przykro mi to mówić jako Polakowi, lecz rzeczywistość jest taka, że słabo z naszą piłką. Mówię to jako fachowiec”. Tomaszewski nie pomylił się ani o jotę. Po meczu zaś dodał: „Wszyscy teraz krytykują Łazarkę, a ja akurat nie mam pod jego adresem żadnych krytycznych uwag. Uważam, że trener reprezentacji po prostu dotrzymał słowa. Obejmując kadre powiedział przecież, że doprowadzi do tego, że jego drużyna będzie gra

ła radosny futbol. I grała. W dodatku tak skutecznie, że... śmieje się z nas cała piłkarska Europa”.

Nie mniejsza improwizacja w sporcie masowym. Wiele szumu było przed laty wokół zagłowca „Pogoria”, zbudowanego z funduszu Radiokomitetu. Krążyły nawet plotki, że jego ówczesny prezes Maciej Szczepański zamierzał na jachcie organizować dla siebie i innych prominentów balety z czarnoskórymi pięknościami. Zapadły potem decyzje o przekazaniu „Pogorii” Polskiemu Związkowi Żeglarskiemu, by na nim szkolić młodzież. Jakis czas tak było. A teraz? Jak podał ostatnio „Głos Wybrzeża”, po powrocie z rejsu z młodzieżą z Polski, USA i ZSRR, „Pogoria” przechodził sto czynowy remont. W lipcu ma wyruszyć. Nie, nie w zapowiadane rejsy z polską młodzieżą. Wydzierżawiono za głowic ponownie Kanadyjczykom i Bóg jeden wie, kiedy na jego pokładzie znajdą się polskie dziewczęta i chłopcy. Rzecz zakrawa na skandal. Nie ma tu „Pogoria” szczęśliwego żywota...



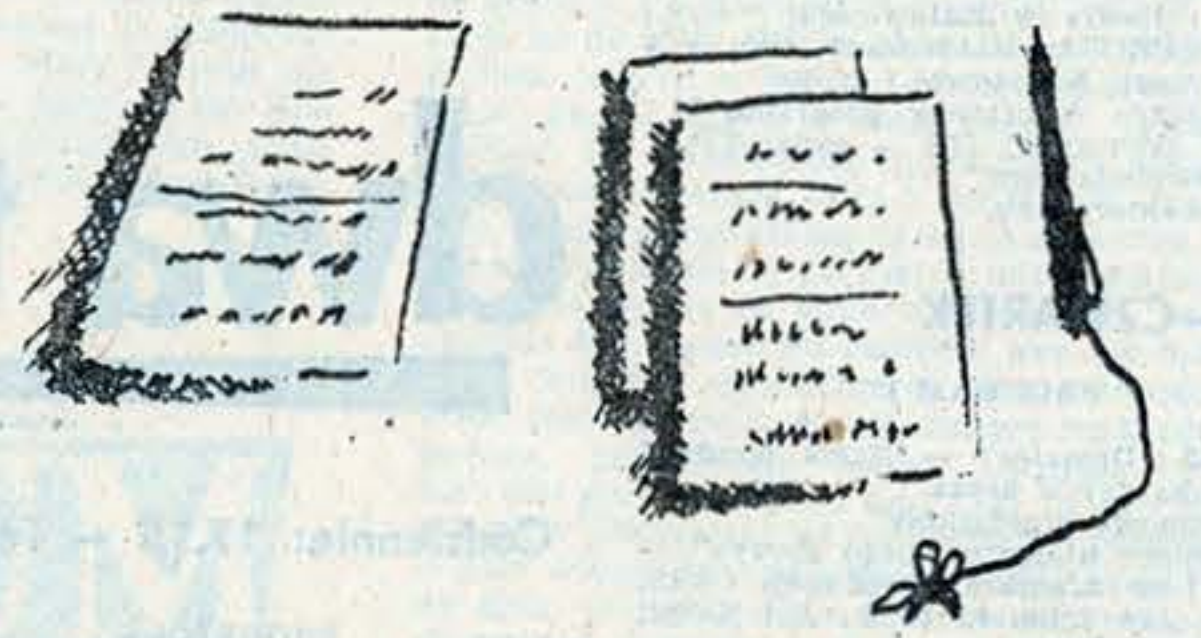
Rys. LESZEK HERMANOWICZ

W poprzednich kadencjach w Sejmie zasiadało zawsze kilku byłych, znanych sportowców. Trafiali tam pewnie bardziej z klucza i dla ozdoby, bo nie istotnego, co miało wpływ na zmianę modelu kultury fizycznej w kraju, do prac Sejmu nie wniesli. Teraz z kolei, gdy parlament stał się dwuizbowy, wśród senatorów i posłów sportowców jak na lekarstwo. Za to w Sejmie zasiadają jedni, prawdziwi mistrzyni. W Lesznie bowiem mandat poselski wywalczyła Ada Dankowska — znakomita szachowniczka. Gdy wyborcy powierzali jej godność poselską, w tym samym dniu Dankowska zdobywała kolo Grudziądz koło lejny tytuł mistrzyni Polski w szachach w klasie standard. Znalazła się zatem w parlamencie autentyczna sport smenka. Obawiam się tylko, że na początek Sejm będzie miał parę ważniejszych spraw, niż sport. Zresztą kultury fizycznej nie uzdrowią najlepsze nawet ustawy. Potrzebni są ludzie, na wszystkich szczeblach sportowego wyczynu, którzy tym sportem odpowiednio pokierują...

Szkopuł tylko w tym, że takich ludzi jest mało. A może jest ich więcej, lecz nie mogą się przebić? W światku sportowym wciąż bowiem obowiązują, nie wiedzieć czemu, zasady jakby żywcem wyjęte z dawno minionych lat. Pora, by i tu do głosu doszło nowe.

Sport wyczynowy, w profesjonalnym wydaniu i prowadzony przez fachowców, to nie tylko najbardziej masowa rozrywka. To również znakomity interes. Prasa amerykańska podała przed kilku dniami, że sport jest... najbardziej dochodową dziedziną gospodarki USA. Tak! Sport przynosi tam 47 miliardów dolarów czystego zysku rocznie. Znajdujący się na drugim miejscu przemysł naftowy o 10 mld mniej.

Zgadza się, że porównywanie sportu amerykańskiego z naszym, to tak jak przymierzanie Śnieżki do Mount Everestu. Ale przecież to nie oznacza, że w działalności sportowej musimy pozostawać w epoce wczesnych manufaktur. Nie bójmy się słowa: zawodowstwo choć jeszcze niedawno było ono na indeksie, byleby profesjonalizm pojawiał w najlepszym tego słowa znaczeniu...



Rys. SŁAWOMIR URBANŃSKI

Rozrywki umysłowe

NIEMOLNIK	UROK POWAB	ZYSK ZAROBK	BAJORO	ZMOWA MAJACA NA CE-LU OD-WIET	RODO-WOD	D'ARC	ZDOBI-SCIANE	LICHY KON
35	54	37	7	9	40	18	44	16
15	50	32	43	47	39	41	6	24
48	42	53	46	14	33	13	4	21
10	2	54	30	20	11	38	49	28
36	3	52	31	8	27	5	12	1
23	25	29	26	17	34	22	19	45

1	2	3	4	5	6	7	8	9
10	11	12	13	14	15	16	17	18
19	20	21	22	23	24	25	26	27
28	29	30	31	32	33	34	35	36
37	38	39	40	41	42	43	44	45
46	47	48	49	50	51	52	53	54

SZYFROGRAM
Opr. Zbigniew Kasperski
Zielonogórski Klub Szaradzystów „Labrys”

Po wpisaniu odgadniętych wyrazów w pionie kolumny górnego diagramu, należy przenieść litery w odpowiednie pola dolnego diagramu i odczytać roz-

wiązanie — aforyzm Kornela Makuszyńskiego.

Rozwiązanie prosimy nadsyłać na adres naszej redakcji w terminie do 12 lipca br. (z naklejonym na kopercie ku ponom). Do wylosowania będą nagrody książkowe.

ROZWIĄZANIE ZADAN Z NR 11

Rebus: „Dobre dzieła to skarby matki”. Szyfrogram: „Pilni — klas ozdoba”. Krzyżówka: „Dzieciństwo to radość”. Nagrody książkowe wylosowali: Ewa Zienkiewicz z Lubka, Małgosia Daracz z Gorzowa, Alojzy Zawadzki z Kamiennej Góry, Stefan Kubasiewicz z Zielonej Góry i Bolesław Kania z Wołczyńska. Gratulujemy. Nagrody wysłamy pocztą.



Marginalia

RADOŚĆ I SMUTEK. Jak pdała „Trybuna Ludu” (nr 134 z czerwca br.) w ogólnopolskim konkursie PTTK o naj lepsze obiekty turystyczne, w kategorii stanów czynnych wyłącznie latem laur pierwszeństwa przypadł stacji wodnej w Drawnie woj. gorzowskie. Gratuluje my! Ale przy okazji nie możemy się po wstrzymać od smutnego spostrzeżenia. W coraz bardziej zaniedbanym Łagowie Lubuskim była swego czasu podobna stacja. Ze względu na jej usytuowanie w rezerwacie przyrody — stanicę zlikwidowano. Niestety, nie znaleziono dla niej nowej lokalizacji. Widocznie jest to na ręce wszystkim: władzom województwa, gminnym a najbardziej PTTK-owi w Zielonej Górze. Przecież organizowa nie wycieczek zagranicznych do Turcji, Grecji i RFN jest przedsięwzięciem bar dziej opłacalnym. Tylko — czy dla wszy stkich?

ZBIÓR BZDUR. Na łamach łódzkiej „Karuzeli” trwa akcja pod hasłem „Zbiór bzdur czyli nieustający turniej im. W. Dymnego”. W 12 numerze pisma wśród wysoko notowanych znalazł się Stanisław Kościuszka z Gubina. Ciekawe, co też jeszcze nowego w tej specjalności można wymyślić? Z pewnością tylko bzdurę do kwadratu.

MAŁA RECENZJA. Jak zwykle z zainteresowaniem przyjęliśmy program Ada ma Kochanowskiego, czyli „Teleskop” poznańskiej TV, emitowany 10 czerwca br. Jak zwykle konsekwentnie utrzyma ny w tonacji apologetyzującej kulturę w Poznaniu i składający się z informac ji o działalności lokalnego Muzeum, o XV pokonkursowej wystawie malarskiej w BWA, o aukcji i handlu sztuką, o galerii autorskiej przy ul. Poznańskiej, o pobytych młodych artystów (poznafskich) w Izraelu i w Nowym Jorku, o pobytych krytyka filmowego w Disney landzie (USA), o plakatach z Biennale sztuki dla dzieci w związku z tym pro gramem warto pochwalić red. Kochano wskiego za celną krytykę warszawskich dziennikarzy, którym jakiś plakat nie przypadł do gustu, a także — za własną krytykę plakatu anonsującego Międzynarodowe Targi Poznańskie. A wnioski? Jak zwykle nie o Zielonej Górze, bo z Poznania bliżej do oceanu. I wreszcie — czas najwyższy uruchomić w Zielonej Górze studio telewizyjne, aby krytycznie przypatrzeć się... poznańskiej kulturze. To tyle!

URZĄD PRZYJAZNI. W pierwszych dniach czerwca br. w zielonogórskim Urzędzie Pocztownym przy pl. Lenina zo staliśmy żywo wzruszeni. Oto w widocz nym miejscu pojawił się wykonany ze

styropianu napis: URZĄD PRZYJAZNI PRL — NRD, ozdobiony miniaturowymi flagami obu państw. Popieramy, jesteśmy za tą przyjaźnią! Tylko dla czego w tym samym czasie w godzinach dopołudniowych czynne było tylko je dno okienko, góra — dwa. Czyżby pa nienkom z okienek nie spodobał się ten napis?

EROTYKA. Jerzy Woy-Wojciechowski, lat 55, szef Zakładu Medycyny Nuklearnej, prezes Polskiego Towarzystwa Le karskiego, przewodniczący Sekcji Medy cyny Nuklearnej Towarzystwa Radiolo gów, wydawca kasety video „Recepta na życie” etc. etc., w rozmowie z Marią Czubaszek („Szpilki” nr 23) tak sądzi o o seksie: „Niektórzy twierdzą, że do te go głowa niepotrzebna. Może śmieszne, ale na pewno nieprawdziwe. Moim zda niem prawdziwy seks jest tylko wtedy, kiedy ma się kontakt psychiczny z dru gą osobą. Pelen seks to całość. Ciała z psychiką czyli nie tylko głowa, ale i... Natomiast zbliżenie wyłącznie fizyczne to fizjologia. (...) Czytałem niedawno ar tykuł amerykańskich kardiologów. Otóż w stanach pozawałowych zalecają u miarkowany seks. (...) Myślę, że nie częściej niż 5 razy dziennie...”. Czy to aby nie przesada, panie doktorze?

FEMINIZM? Henryk Drakula („Szpilki”, nr 23) snuje rozważania o feminizmie, pisząc m. in.: „Z Zachodu natomiast za czynu docierać do nas feminizm, o któ rym byłem zdania, że w życiu nie prze kroczy granicy na Odrze i Nysie Lu życkiej w Słubicach czy Świecku. A je dnak się przedostał”. Dziwne, że my mieszkając tak blisko zachodniej grani cy, nie zauważyliśmy inwazji feminis tek.

WĄTPLIWOŚCI. W 5 numerze poznań skiego „Nurtu” Jerzy Bieniamin Zimny w recenzji „Kosmos przedmiotu” oma wia (na ogół pozytywnie) tomik wier szy Janusza Koniusza „Z Kaina i Aba”. Stwierdza m. in.: „Przy kruchej kondy cji wielu wierszy (...) pozostałe ze swo imi waleńkami artystycznymi, decydują o poziomie tej książki. Mam jednak wątpliwość, czy autor dokonał trafnego wy boru? Wiele znaczących utworów, które pamiętam z poprzednich jego książek, nie znalazłem w omawianym tomie. W jakim stopniu zależało to od autora — tego nie wiem”. Pociętny recenzenta o ile nam wiadomo, sam autor ma wątpliwości, czy dokonał właściwego wybo ru. Nie miał tych wątpliwości tylko czy telnik, bowiem wybór poezji Koniusza zniknął z księgarskich ład.

NIE WIE LEWICA. „Tygodnik Kul turalny” (nr 24) w „Kronice kulturalnej” (str. 13) informuje: „Na zjeździe założ ycielskim Stowarzyszenia Pisarzy Pol skich na preza wybrano Jana Józefa Szczepańskiego. Relację zamieścimy w najbliższym numerze.” Tymczasem ku naszemu zdumieniu taką relację znajdu

jemy już w tym samym numerze tygo dnika (str. 3), zatytułowaną „Druga ka dencja” pióra Marka Karpieńskiego. Nie wie lewica, co czyni prawica?

GŁOS KISIELA. W swoim kolejnym felietonie („Tygodnik Powszechny” nr 24) pisze popularny Kisiel: „Moje doma ganie się od „Solidarności” jednolitego i znanego ludziom programu ustrojowe go nie jest jakimś przypadkowym, osta tnim wymysłem egocentryka. Już 8 lat temu identycznie zarzucałem „Solidarno ści” brak wyraźnego programu gospodar czego, zastępowanego pięknymi hasłami oraz efektownymi postulatami, bez wskazania źródeł ich pokrycia.” Tak! Głos nie przeszedł by nawet w „Polity ce”.

POCZTA. Od Pawła Janczaruka z Zie lonej Góry otrzymaliśmy list następują cej treści: „W nawiazaniu do notatki: „Głośno o zielonogórskiej fotografii” w rubryce „Marginalia” („Nadodrże” z dn. 24.05.89) chciałem wyjaśnić, że ni gdy nie byłem i jak dotąd nie jestem uczniem jedyne go artysty fotografa w woj. zielonogórskim Czesława Łuniewi cza. Swoje umiejętności i osiągnięcia za wdzięczam własną pracą w MŁODZIE ŻOWYM KLUBIE FOTOGRAFII ARTY STYCZNEJ, a obecnie również w AMA TORSKIM KLUBIE FOTOGRAFII ARTYSTYCZNEJ przy ZDK „MERA — LUMEL”. Scieranie się poglądów i do świadczeń w MLF, oglądanie wystaw w kraju, liczy udział w konkursach do prowadził do takich efektów, jakie pre zentują ja i moi koledzy. Żadnej inger encji w naszą pracę ze strony „Mi strza” nie było i nie ma. Za zasług pana Czesława Łuniewicza można u znać jedynie stracenie możliwości wy stawienniczych młodych w Zielonej Górze (klub MPIK), przez co sami i dla siebie stworzyliśmy (z dużą pomocą ZDK „MERA — LUMEL”) galerię foto grafii AKFA. Jedyne kontakty z „Mi strzem” mieliśmy na otwarciach wy staw, gdzie raczej dochodziło do wy miany odmiennych poglądów na tema ty fotografii, a nie wspólnej wymiany doświadczeń. Artysta fotografik sam od cina się od młodych, a większość przed sięwzięć fotograficznych torpeduje, igno rując lub jawnie lekceważąc młodych. Słowa wypowiedziane przez „Mistrza”, że „z nimi nie warto dyskutować” same mówią za siebie i nie potrzeba ich ko mentować. Uważam, że przypisywanie zasług osobie, która nie ma wpływu na rozwój młodych, jest nie na miejscu, a umieszczanie na łamach prasy tego typu komentarzy wprowadza niepotrzeb ne zamieszanie. Proszę o sprostowanie informacji, gdyż nigdy nie byłem „ucz niem Mistrza” i jak na razie się na to nie zanosz. Spełniam prośbę, list dru kując w całości, bez ingerencji styli stycznych, jedynie wstawiając niezbędne znaki interpunkcji.